

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

TYRTEUSZ.

O POTRZEBIE ORGANIZACYI POSTĘPOWYCH.

Bez organizacyi żadna praca społeczna nie da się pomyśleć, ani ze skutkiem wykonać. Tak było zawsze, gdyż człowiek z prawa przyrodzonego jest istotą społeczną i tylko w społeczeństwie, a więc w organizacyi, bronić może swoich praw i należytości, spełnić może swoje powinności i obowiązki. Szczególnie jednak w dobie nowoczesnej, w czasach powszechnej demokratyzacyi, potrzeba organizacyi stała się pierwszorzędnym postulatem. Nie wystarczają już przekazane tradycyą wielkie organizacye państwowe, narodowe, wyznaniowe, gdyż nie mogą nadążyć za wzrastającemi potrzebami i uświadomieniem jednostek, nawet mimo najlepszej woli nie mogą spełnić ogromnych zadań współżycia ludzkiego, nie mogą dość skutecznie pomnażać dostępnego warunkom dzisiejszym szczęścia społeczności, dość energicznie prowadzić naprzód, w jasne podwoje przyszłości. Stały się konieczne organizacye mniejsze, jakich już dzisiaj widzimy mnogość niesłychaną, które w łonie państwa, za jego wiedzą i przyzwoleniem, wzięły na siebie zadania szczegółowe, natury moralnej i materyalnej, ażeby wolności ludzkiej i obronie praw jednostki dać wyraz najdokładniejszy i najpełniejszy.

Jeżeli przypatrzymy się dziś istniejącym organizacyom, łatwo zauważyć, że nie wszystkie spełniają cel uszczęśliwienia człowieka, nie wszystkie odpowiadają warunkom należytego rozwoju człowieczeństwa. Obłuda i przemoc odległej przeszłości w wielu wypadkach nie straciła do dnia dzisiejszego potęgi swojej i znaczenia, za pośrednictwem wielu organizacyi umie wstrzymywać rozwój naturalny, umie ochraniać i konserwować szkodliwe i przeżyte formy i przyzwyczajenia, niekiedy nawet nie bez powodzenia stara się być zdobywczą i cofać ludzkość w barbarzyńskie granice absolutyzmu i teokracyi. Widzimy to bardzo dokładnie na zakusach klerykalizmu, który w naszem społeczeństwie posiada najpotężniejsze środki organizacyjne, wkraczające w najniedostępniejsze — zdawałoby się — dziedziny wolności osobistej, przecież stara się jeszcze wpływ swój rozszerzyć, interes polityczny i materyalny kasty przedstawiając obłudnie, jako interes religijny. Widzimy to w organizacyach plutokracyi i wielkiej własności ziemskiej, które w czasach demokratycznych sprowadziły żywiołową drożyznę, przedstawiają ją kłamliwie, jako winę nadmiernych wymagań robotnika i korzystają z ramienia

państwa, aby stłumić słuszne objawy niezadowolenia.

Zapędy reakcyjne spotyka się nawet w takich organizacyach, gdzieby tego najmniej spodziewać się należało, które z natury swojego powołania mogłyby i powinny być ostojami postępu i ducha demokratycznego. Myślimy o tak szlachetnie pomyślanych i tak pożytecznych w założeniu instytucyach, jak Towarzystwo Szkoły ludowej i Sokół, do których panosząca się w ostatnich latach narodowa demokracya w bardzo wielu wypadkach wniosła posiew fanatyzmu, separatyzmu i demagogii, pacząc niejednokrotnie myśl założycieli, intencye i dobrze pomyślany pożytek społeczeństwa, wnosząc ducha reakcyjnego w szerokie rzesze, którym nieść się powinno ducha miłości i wolności.

Jak się zachować wobec takich i tym podobnych objawów, jak obronić się przed złemi organizacyami i przed szkodliwym chwilowo wpływem dobrych w założeniu organizacyi, częściowo na razie wypaczonych i wykolejonych. Rzecz jasna, że nie myślimy zalecać żadnych środków gwałtownych. Przy dzisiejszej łatwości organizowania się jeden jest tylko sposób: szkodliwym przeciwstawienie pożytecznych organizacyi, rozumne i celowe wyrwanie z rąk przywłaszczycieli organizacyi dobrych i w założeniu szlachetnych. Jest to zadanie, którego postępowa i demokratyczna część naszego społeczeństwa podjąć się musi i powinna jak najprędzej.

Postęp polski ma wadę nieszczęśliwą, że często gubi się w teoretyzowaniu i w przeczuleniu intelligenta wobec gruboskórcy. Jedno i drugie powoduje, że najpiękniejsze pomysły, najszlachetniejsze kulturalnie i narodowo tendencye zamykają się w ciasnem kole nieskalanych humanistów i patryotów, w zapalnych głowach na ton serdecznego entuzyazmu nastrojonej młodzieży, nie dość silnie, z wieką szkodą dla publicznej sprawy narodowej, nie dość silnie, za mało bezwzględnie, przedostając się na zewnątrz. Tak nadal być nie może, tak być nie powinno. Nie wystarcza także, jeżeli dla ludzi poglądów postępowych zdobędzie się po kilka mandatów do Dumy i Koła polskiego. Są oni tam niezbędni, bo głos prawdy w ciałach najbardziej nawet skorrumpowanych nie może przebrzmieć bez głębokiego odgłosu w szerokich kołach społeczeństwa, ale wobec zdecydowanego rozkładu w polskiem klerykalno-konserwatywnem życiu politycznem muszą być narażeni na najniebezpieczniejsze intrygi, na najpotworniejsze kalumnie, które zrażają, zniechęcają, odbierają siły, jeżeli posłowie postępowi nie będą oparci o silne podstawy organizacyjne, mogące wspomódz ich w każdej chwili, czy to słowem drukowanem, czy wypowiedzianem na wiecach publicznych, czy nareszcie roztropnie przeprowadzoną agitacyą.

Polska należy do krajów najnieszczęśliwszych, nie tylko dla niewoli zewnętrznej, ale w wyższym jeszcze stopniu z powodu niewoli wewnętrznej. Czarne kruki i demagogiczne puszczyki urządziły sobie na jej ziemiach nieoglądane gdzieindziej żerowisko, którego ofiarą pada to wszystko, co jest w Polsce żywem, czującem, kulturalnem i szlachetnem. Uwydatnia się to przedewszystkiem w stosunkach galicyjskich, a zwłaszcza we wschodniej części tego kraju. Przecież — na miłość Boską — nie cały organizm jest przeżarty. Orgia dokonywa się na wierzchu, doły śpią podeptane, lub szukają ocalenia u junkrów pruskich i w kopalniach amerykańskich, ale istnieje pozatem spora część elity umysłowej, która wyczuwa gorąco podłość i szkaradzieństwo frymarki publicznej, szuka sposobów ratunku i wyczekuje silnych i zwartych organizacyi postępowych, gdzieby mogła się poznać, porozumieć i ramię przy ramieniu stanąć energicznie przy pracy. Nad dołami społecznymi pracuje socyalna demokracya, ale ona całej pracy uświadomienia dokonać nie potrafi. Zaniedbane ugory zbyt są rozległe, potrzeba bardzo wielu siewców i ludzi dobrej woli. Plon nie zawiedzie, bo dojdzie tam łatwo słowo zdrowego rozsądku, głos prawdy, miłości i pomocy. Trzeba tylko iść tam co prędzej, ażeby demagogia reakcyi i na tych ugorach nie pojawiła się szarańczą spustoszenia. Wtedy bowiem usiłowania staną się trudniejsze, a owoc dobrej pracy na jedno co najmniej pokolenie uniemożebniony.

Podnosimy zatem gorący apel do naszych przyjaciół i zwolenników, do naszej młodzieży — i wołamy do nich: w imię prawdy przyrodzonej, zapisanej w sercu każdego niezepsutego człowieka — do pracy! w imię „prawa człowieka“ do pracy! w imię dobra i szczęścia narodowego do pracy! w imię ideałów wolnościowych i humanitarnych do pracy! „Puśćcie kosy na te chwasty, co nam pola głuszą“, co zatruwają myśl polską, co nie pozwalają człowiekowi polskiemu, ażeby posiadł światło, wolność elementarną, dobrobyt i kulturę, co wysysają najlepsze soki ziemi ojczystej, ażeby w zamian trzymać ją w ciemnocie, obłudzie i upodleniu!

Podtrzymujmy wszelkiemi siłami organizacye istniejące, które do nas należą, reformujmy te, które zostały wypaczone, a mają najlepsze warunki, ażeby służyły pracy dobrej, twórzmy nowe organizacye, pokryjmy niemi cały kraj. Przy należytym wysiłku możemy stworzyć całą sieć, dojść do zakątków i zaułków, dostosować je do wszystkich celów i potrzeb pracy społecznej, wybudować w ten sposób granitowe podwaliny rychłego zwycięstwa. Ani na moment nie wolno poddawać się zwątpieniu, bo natura ludzka jest dobra z przyrodzenia i przy pomocy ludzi dobrej woli wnet wyrozumie bezinteresowny głos prawdy społecznej. po zgodnem biciu własnego serca odczuje serce głosiciela dobrej nowiny. Nie przyniesie ta praca tanich oklasków, ani dostojeństw hierarchicznych, ni złotych orderów, tem bardziej jednak będzie skuteczną, przynoszącą pracownikom zadowolenie wewnętrzne, sprawie publicznej pożytek, narodowi polskiemu uzasadnioną nadzieję lepszej przyszłości. Przy takiej pracy nikogo z ludzi dobrych, nikogo z dobrych synów narodu zabraknąć nie powinno, zabraknąć nie może. Więc razem do pracy i walki nieprzejednanej! Młodzi i starzy zorganizujmy nieustraszony zastęp bojowników Polski, prawdy i wyzwolenia!

GRABOWIEC.

KOŁO, JAKO „FAISEUR“ RZĄDU.

Austryacki system rządzenia od lat osiemnastu stanowi odrębną dla siebie specyalność. W roku 1893 Jaworski, Hohenwart i Plener, przerażeni projektem Taaffego, mającym na oku rozszerzenie praw wyborczych, obalili rząd i utworzyli gabinet koalicyjny. Utrzymanie przywilejów kuryalnego parlamentu stało się kitem koalicyjnym, a równocześnie punktem wyjścia dla systemu bezhołowia, jaki odtąd zapanował dla rządów centralnych Wiednia.

Od zaprowadzenia konstytucyi aż po koniec lat siedemdziesiątych rząd był wykładnikiem hegemonii liberalizmu niemieckiego. Lata osiemdziesiąte przyniosły zmianę systemu. Powstał konserwatywny pierścień żelazny, który zatamował i tak już zbutwiałe chętki wolnomyślne i Austryę poddał panowaniu wstecznictwa. Pomijając wszakże krytykę obu owych systemów, należy stwierdzić, że służyły one pewnym ogólno politycznym zasadom, że wypowiadały pewne złe czy dobre, głupie czy rozropne idee. Każdorazowy rząd był organem większości parlamentarnej, spełniającej jakąś misyę programową. Zastrzegam się raz jeszcze, że nie chcę wchodzić w ocenę społecznej wartości programów, wyznawanych w onym czasie w parlamencie kuryalnym. Stwierdzam tylko, że stronnictwa, podówczas większość stanowiące rząd popierały z punktu widzenia relacyi do ich — jakim on tam był — programu.

Koalicya, spłodzona w r. 1893, celem „ochrony“ przed rozszerzeniem praw obywatelskich, stała się początkiem nowego, trzeciego systemu rządów w Austryi. Każdorazowy gabinet był wypadkową mniej lub więcej szczęśliwych kombinacyi między stronnictwami parlamentarnemi. Badeni, Gautsch, Thun, Clary czy Wittek, Körber czy Gautsch ponowny, Beck lub Bienerth, cała ta słynna galerya austryackich prezydentów rządu, nie wyraża już żadnej myśli przewodniej. Żyje z dnia na dzień, w imię „konieczności“ państwowych. Poza wielkim rokiem, poświęconym reformie wyborczej i zaprowadzeniu głosowania powszechnego a równego, cały ten długi okres parlamentaryzmu austryackiego jest głuszą, ogołoconą z ech, elektryzujących gdzieindziej społeczeństwa. Państwo ze swemi potrzebami stało się bożyszczem, żądnem dla siebie ofiar nieustających; potrzeby społeczne objektem, przemycanym chyłkiem i od wypadku. Każdorazowa większość kojarzyła się bowiem pod wezwaniem egzystencyi państwowej, a nie pod naporem zbieżnych dążeń ideowych.

Wiadomą jest przyczyna tego stanu bierności. Buta niemiecka we walce z ambicyami czeskiemi, zatarasowała przystęp do widnokręgów szerszych. Niezałatwiona po dzień dzisiejszy kwestya językowa w Czechach jest podłożem, na którem się tuczy państwowość austryacka. Ona jedna nie ucierpiała. Wobec osłabionego parlamentaryzmu, wzmógł się autokratyzm sfery panującej i wybujał w militaryzmie, jakoteż w centralistycznym biurokratyzmie do ekscesu.

Kluby parlamentarne na wyścigi spieszą przyznać rządowi wszelkie „konieczności państwowe“, byle się stać stronnictwem rządowem.

Korzyści prywatno-partyjne, jakie poręcza komitywa z rządem, stały się w ostatnich latach powszechnym celem westchnień. Przedewszystkiem Czesi, wygłodzeni trzyletnią opozycyą za Bienertha, radziby na gwałt stanowisko swe zmienić. Pojmują, że bezpośredni wpływ w samym gabinecie stokroć jest skuteczniejszy dla toku spraw bieżących, aniżeli wszelkie reklamacye opozycyjne.

Ale temi samemi kierowani pobudkami Niemcy, zwłaszcza narodowi, rozzuchwaleni złotą epoką bienerthowską, wszystkich zażywają wysiłków, aby spółzawodnikom swym zamknąć furtkę do obozu rządowego. Pojmują doskonale, że przystąpienie do większości musianoby Czechom opłacić ustępstwami. Stąd teza: dopiero po ugodzie czeskoniemieckiej w Czechach — my Niemcy dopuścimy Czechów do większości.

Na tem tle rywalizacyi czesko-niemieckiej zarysowuje się obecna akcya barona Gautscha. Jałowe trzechlecie rządów Bienertha nauczyło jego następcę, że anemiczna większość polsko-niemiecka nie wystarczy do przeprowadzenia wydatniejszych inwestycyi na rzecz militaryzmu w mierze, jakiej żądają pewne sfery panujące. A ponieważ militaryzm ze swemi roszczeniami jest alfą i omegą aspiracyi pewnych, więc Gautsch, czy jakikolwiek inny prezydent rządu, musi nieodwołalnie stworzyć w obrębie Izby warunki, czyniące zadość owym aspiracyom.

Akcya, zmierzająca do utworzenia nowej szerszej większości rządowej jest w pełnym toku i w szczegółach rozwoju swego codziennego nie przedstawia tematu dla dociekań zajmujących. Jest to migawkowy zlepek umizgów i chłodu, którymi aktorzy rokowań wzajem się kokietują. Wynik da się wywróżyć, nie przewidzieć.

Nas obchodzić może bliżej li tylko postawa, jaką Koło polskie zajęło w chwili obecnej. Biuletyny codzienne z terenu konszachtów chwalebnie podkreślają udział p. Bilińskiego w zabiegach i sławią obrotność a wytrwałość pośrednika i uległość i sforność szeregów, za nim stojących.

P. Biliński chlubi się zdawna opinią kapitalnego stręczyciela. Wytworność jezuity i chytrość giełdziarza, spoiły się w instrument giętkiej celowości, którym p. Biliński włada z mistrzostwem nadobnem. Dzięki tym przymiotom umiał pokonać dużo trudności, wykłuwających się z trybu powszednich funkcyi politycznych.

Nie widziano go wszakże dotąd w roli pogromcy zagadnień wielkich, żywotnych.

Nie objawił dotąd twórczej koncepcyi w ujęciu węzłów gordyjskich.

Pan Biliński przywala Koło autorytetem dostojeństw, poskramia je chwytami dyktatury jedwabnej i mocny legionem sobie uległym, staje na zewnątrz w pozie możnego przewódcy i męża stanu.

Lecz cała potencya p. Bilińskiego bierze oddech ze szczupłej atmosfery górnych koneksyi. Nurt życia nieznany jest przewódcy Koła. Wichura bytu przewala się obok niego, zdala, a on chwyta jej echa jak najbardziej już stłumione i układa z nich melodye, pojętne dla ucha sfer

panujących i dworskich. Metoda działania i pomijanie osnowy, dobór formuł, nie koncepcya, lecz koncept.

Takiemi właściwościami uposażonemu p. Bilińskiemu łatwo przychodzi pertraktować i przewodzić. Od lat czterdziestu sklepikarze i chłopi czescy dobijają się o zdobycie praw dla języka swego u władz państwowych. P. Biliński z nagromadzonych namiętności oderwał najdalsze ich drgnienia i układa kombinacye na temat „częściowego sparlamentaryzowania gabinetu, przy udziale narodowo akcentowanych karyer urzędniczych....“ Misterne kombinacye.

Koło, pozostające jeszcze pod wrażeniem wspomnień, kiedy to p. Głąbiński „pośredniczył i stręczył“ z dobroduszną naiwnością dyletanta, ma to przynajmniej zadośćuczynienie, że obecnie stręczycielstwo odbywa się w kształtach cacanej sztuki.

Pożytku, jak z tamtej, tak z tej roboty nie będzie!

WIEDEŃ 25. października.

KSIĄDZ STOJAŁOWSKI.

Dziwna to była postać, ten demagog w sutannnie, ten warchoł szlachecki, — co lud wiejski rozbudził i rozpolitykował, ten klerykał, który wołał buntowniczo: „Nie pójdziemy do Kanossy!“, ten człowiek, pełen wad jaskrawych, — pozbawiony hartu moralnego, etycznych skrupułów, równowagi duchowej, szerszych idei, trwałych przekonań — a tak wytrwały, zaciekły w pracy, rzutki, niezmordowanie czynny, wyślizgujący się z pod najgorszych opresyi, padający jak kot — zawsze na cztery nogi. Dziwnie zmienne, burzliwe, awanturnicze było jego życie, w którem nie było nic z filisterskiej szarzyzny, nic z „żywota poczciwego człowieka“: nie był to zgoła ksiądz ewangeliczny, lubił dostatek, uganiał się za groszem, a niezbyt dbał o to, skąd ten grosz przychodzi; ciągle jednak był w kłopotach pieniężnych, nieraz bieda doskwierała mu; ciągle miał do czynienia z sądami, często — z policyą, żandarmami, klucznikami więziennymi; tropiony, szczuty, uciekał z Galicyi, przemykał się chyłkiem po kraju; rzucał się na wszystkie strony, szukając pomocy, oparcia, sojuszników: oniemal stał się socyalistą na złość Badeniemu; z szefem żandarmów warszawskich, Brokiem, porozumiewał się z nienawiści do prześladującej go Polski szlacheckiej; później sprzedał się tej właśnie galicyjskiej Polsce szlacheckiej, pakt z nią zawarł; nie wyrzekł się jednak istoty swej natury, swego prawa do demagogii — tylko że teraz, — niegroźnym dla szlachty antysemityzmem wojować zaczął; później jeszcze, gdy szlachta usług jego nie potrzebowała, z ludowcami chwilowy pokój zawarł; wreszcie — i tym razem aż do śmierci — z narodową demokracyą sprzymierzył się i na śmiertelnem łożu sztandar swój wraz z dorobkiem jej przekazał.

Ciekawa więc to postać dla psychologa, który wdzięczne ma zadanie, gdy sondę badawczą zapuszcza w powichrzone morze takiej duszy niecodziennej, nie będącej zaiste tuzinkowym fabrykatem politycznej szarzyzny. Stojałowski zostanie również w historyi tej dzielnicy, z jego „dniami i pracami“ w ciągu kilku lat dziesiątków związany, wrzawą swojej działalności wybitnie zaznaczony, ruchu chłopskiego inicyator, ojciec i — sprzedawczyk, korrupcyonista.

Jednak, by ocenić Stojałowskiego, niedość posiłkować się tylko osobniczą psychologią. Nie jesteśmy zwolennikami Carlyle'owskiej teoryi „bohaterów“, którzy tworzą historyę samodzielnie, urabiają ludzkość jak glinę, władnie narzucają jej kształty i normy rozwoju.

Zapewne — ks. Stojałowski nie był ks. Ściegiennym, był właśnie co do osobistego charakteru i moralnej wartości przeciwległym biegunem tej przedziwnie czystej, promiennej postaci spiskowca ludowego. To dużo znaczy, ale nie wszystko. Trzeba tło uwydatnić, aby zrozumiałą się stała działalność i rola Stojałowskiego.

Ani demokracya powstańcza, ani późniejsza demokracya miejska nie poruszyły chłopa galicyjskiego. Włościanin wegetował zdala od wielkich prądów życia narodowego, które i w tej dzielnicy nurtowały, jakkolwiek słabiej, niż w zaborze rosyjskim. Chłopa urabiała nędza pańszczyźniana i biurokracya austryacka. Rok 1846, rok Szeli rzucał przez długie lata swój cień posępny na życie tej dzielnicy. Później przyszła konstytucya, autonomia, szlachta, ongiś nie prawomyślna, podejrzana, prześladowana, stała się oporą tronu, objęła rządy krajowe, swoje interesy ekonomiczne mocno obwarowała. Chłop i po uwłaszczeniu pozostał nędzny, ciemny, z prawa faktycznie wyzuty. Stosunki ekonomiczne wsi galicyjskiej pod wielu względami przypominały rosyjską nędzę włościańską.

Jednakże — chłop był „wolnym“ właścicielem gruntu i „wolnym“ obywatelem kraju. I otóż ta sprzeczność między nominalną wolnością, a nędzą ekonomiczną i faktycznem upośledzeniem społeczno-politycznem musiała doprowadzić do chłopskiego ruchu opozycyjnego.

Stojałowski był tu siewcą i inicyatorem. Ale w r. 1875, gdy Stojałowski zakupił pisemka ludowe „Wieniec“ i „Pszczółkę“, nie mogło być mowy o wielkich hasłach, o świadomości zadań, o polityce ludowo-rewolucyjnej, a choćby opozycyjnej, w wielkim stylu. Nie nadawał się do tego Stojałowski, który otrzymał jezuickie, klerykalne, zgoła nie głębokie wykształcenie — nie nadawała się do tego również wieś galicyjska z jej szarą troską, drobnemi sprawami, bezbrzeżną nędzą i ciemnotą. Ksiądz, który przemówił do chłopa jasno, zrozumiale, który począł go organizować — znalazł oddźwięk, trafił do serc i umysłów. Ale szlachta przestraszyła się, najniewinniejszy ruch lu-

dowy był dla niej groźnem widmem; tem snadniej opierała mu się, że obronę gorliwą swoich przywilejów usprawiedliwiała w sumieniu swojem wspomnieniem Szeli. Stojałowskiego zaczęto prześladować coraz zawzięciej, coraz bezwzględniej, wpędzając go tem samem w coraz gwałtowniejszą opozycyę, w radykalizm jaskrawy, ale rozpaczliwy, miotający się.

Ani jezuickie wychowanie, ani ciasne widnokręgi wsi galicyjskiej nie mogły ze Stojałowskiego uczynić polskiego rewolucyjnego polityka. Był on działaczem galicyjskim i nigdy sprawy polskiej nie rozumiał. Reprezentując przez pewien czas społeczne niezadowolenie włościaństwa galicyjskiego, nie umiał mu nadać polskiego rewolucyjnego wyrazu. Omal nie stał się odstępcą narodowym, a był poplecznikiem carskiego rządu. I chociaż opuścił Broka, przejednany ze szlachtą, jednakże zachował sympatyę dla caratu nawet w rewolucyjnej dobie. Pod tym względem był on podobny do tych inteligentów chłopskich, którzy w czasach pańszczyźnianych z wysiłkiem wydobywali się z czerniawy ludowej, dawali wyraz jej społecznemu niezadowoleniu, ale politycznie byli reakcyjni. A jeżeli do nich był podobny, to zgoła był niepodobny do takich inteligentów chłopskich, jak ks. Ściegienny. Znamienne jest też, że Stojałowski mało cenił konstytucyę i parlamentaryzm.

Stojałowski, prześladowany, rozgoryczony, zbliżył się na chwilę do partyi socyalistycznej, pisał, że różni się od niej tylko poglądem na religię, że zresztą zgadza się na jej program minimalny zupełnie; jakoż z programu tego przepisał do swego wiele żądań, domagał się też, uspołecznienia wszystkich skarbów przyrody, które bez pracy i przyczynienia się człowieka powstały. Ale w gruncie rzeczy Stojałowskiego od socyalizmu przepaść cała dzieliła. Stojałowski organicznie nie był zdolny do prowadzenia zasadniczej polityki, do głębszego ujmowania zjawisk życia społecznego, do wielkiej politycznej akcyi, mającej określone, pozytywne cele.

I to również mocno zaważyło na jego działalność, że pośród ruchu chłopskiego, który wzbudził, stał sam. Jest to niebezpieczeństwo i tragedya wszelkiego ruchu wyłącznie — chłopskiego, że tak łatwo daje się wykolejać, paczyć, że tak bardzo ulega kaprysom, miotaniom się, ambicyom przewódców. Ks. Stojałowski miał do czynienia z masą, którą przerastał ogromnie, z masą bezkrytyczną, oddaną autorytetowi, rozproszoną, — z „tłumem“, który nie miał ani odpowiedniego wyrobienia, ani organów potrzebnych, by narzucić kontrolę swą wodzowi, — ze wsią poruszoną, podniecona, której jednak tak trudno wytworzyć zbiorową opinię, tak trudno wywierać stały i systematyczny nacisk czy na rządy państwowe, czy na rządy stronnictwa.

Ks. Stojałowski był sam i jeżeli z kim liczyć się musiał, to nie z masą ludową, lecz chyba tylko z gronem karyerowiczów, którzy go otaczali, z tym zmiennym zresztą a zawsze interesownym orszakiem, z ludźmi często z pod ciemnej gwiazdy. Dlatego ks. Stojałowski, bez przeciwwagi, bez hamulca, bez kontroli, mógł odbywać swoje „ewolucye“, swoje poszukiwania moralnego i pieniężnego poparcia.

W ostatnich, zupełnie już bezideowych, do cna skompromitowanych, zgoła niesławnych latach swoich, ks. Stojałowski nikomu już nie był potrzebny. Chyba — narodowej demokracyi. Jest to ironia losu, iście galicyjskiego, że narodowa demokracya, która pierwsza wykryła konszachty Stojałowskiego z „Warszawskim Dniewnikiem“ i z Brokiem i napiętnowała go mianem zdrajcy — obecnie spadek obejmuje po przyjacielu swoim i sojuszniku z lat ostatnich. Późno zeszli się — w demagogii, w braku zasad, w sprzeniewierzaniu się ludowi, w antysemityzmie, w ugodowym stosunku do rządu carskiego...

INŻ. WŁ. SIKORSKI.

Międzynarodowe środkowo-europejskie połączenie spławne — a drogi wodne w Galicyi.

Ostatni kongres hydrotechników niemieckich, odbyty przed paru tygodniami w Berlinie, wypowiadając się za wykonaniem austryackiej ustawy z 1901 roku, podjął myśl nie nową — mało jednak u nas znaną — ideę wybudowania międzynarodowego kanału spławnego w Europie środkowej. Kanał ten połączyłby Paryż z Warszawą, Antwerpię z Morzem Czarnem za pośrednictwem rzek Renu, Maiu, Dunaju, Wezery, Wisły i Dniestru, posługując się równocześnie sztucznemi drogami wodnemi, istniejącemi w Niemczech, a zaprojektowanemi w Austryi. Hydrotechnicy zagraniczni, podnosząc tę sprawę, przypomnieli nam, że projektowane kanały austryackie poza swojem znaczeniem lokalnem odgrywają wielką rolę w międzynarodowej sieci dróg wodnych. Kanały zaś galicyjskie tworzyłyby w tej sieci niezmiernie ważne ogniwo pomiędzy Wschodem i Zachodem, stając się przez to jedną z najważniejszych dróg handlowych, której przyszłość finansowa i pożytek ogólny nie może podlegać żadnej kwestyi.

Koszta przytoczonego powyżej — na olbrzymią skalę pomyślanego projektu, podniesionego w czasach ostatnich przez prof. dr. M. Eckerta*) obliczono na dwa miliardy marek. Pomimo to znajdują się fantaści naukowi, którzy wierzą w możliwość zebrania drogą międzynarodowej pożyczki tak dużego kapitału.

Mniemają nawet niektórzy, jak prof. Eckert, że dyplomacyi europejskiej przychodzi zawsze łatwiej zdobycie kapitałów na międzypaństwowe cele (przykładem kolej gothardska), aniżeli jakiemuś rządowi na cele wewnętrzne danego państwa, gdzie sprzeczne interesy poszczególnych narodów lub klas społecznych obalić mogą i najpożyteczniejszy nieraz zamiar. Częściowa słuszność tego zdania znajduje aż nazbyt wyraźne potwierdzenie w dziejach ustawy z 1901 go roku, którą zwalczają fabrykanci niemieccy i czescy, pragnąc utrzymać nadal Galicyę na szczeblu niedorozwoju przemysłowego.

*) Von Paris bis Warschau, und von Antwerpen bis zum Schwarzen Meere. Ein mitteleuropäischer Kanal.

Projektowany środkowo-europejski kanał budzi i z tych także względów duże zainteresowanie, że przecinałby on w przyszłości najbogatsze kraje zachodniej, środkowej i wschodniej Europy, przez co rentowność omawianego przedsięwzięcia więc i kanałów galicyjskich nie ulegałaby wątpliwości. Już obecny ruch towarowy, panujący na granicy niemiecko-francuskiej i niemiecko-rosyjskiej, jest dość potężny, by utrzymać projektowane drogi wodne. Przez uzyskanie zaś tańszych arteryi komunikacyjnych wzmógłby się on jeszcze znacznie. Wzrost ruchu transportowego jest jednoznacznym ze wzrostem majątku społecznego. Taniość taryfy przewozowej staje się fundamentem, na którym oprzeć się może produkcya przemysłowa i rolna w wielkim stylu. Możliwość sprowadzania, lub eksportowania na dalsze odległości towarów masowych, uniemożliwiona wysoką taryfą kolejową staje, się nieraz niezbędnym warunkiem do zapoczątkowania ekonomicznego odrodzenia kraju, jak to właśnie mieć będzie miejsce i u nas. — Drogi wodne stają się przez to życiodajnemi żyłami, podtrzymującemi rozwój tego organizmu, który przecinają. Setki fabryk, przedsiębiorstw górniczo-rolniczych, powstających nad nową arteryą wodną, ożywiają daną okolicę pod względem przemysłowym, zmieniając jej wygląd do niepoznania i wzmagają równocześnie ruch handlowy na danej linii — podnosząc jej ekonomiczne znaczenie. Przykładów, potwierdzających tę obserwacyę, dostarczyćby nam mogła którakolwiek z istniejących dróg wodnych. I tak np. wzrost ruchu handlowego na kanale cesarza Wilhelma w Niemczech, będący tylko skutkiem omówionych powyżej przyczyn, jest tak znacznym, że gdy w r. 1896 przepłynęło tym kanałem 20.000 okrętów, przynosząc skarbowi państwa 1,000.000 (milion) marek opłat — w 13 lat później przypływa już 35.000 okrętów w ciągu jednego roku i tą samą drogą, przynosząc skarbowi przeszło 2,000.000 m. opłat. A podnieść należy, że kanał ten stanowi drugorzędną linię handlową, tem większe zatem nadzieje przywiązywać można do pierwszorzędnych dróg wodnych, o których mowa.

Uznając międzynarodowe znaczenie dróg wodnych w Austryi, powitali zagraniczni mężowie nauk i techniki zamiary rządu wiedeńskiego z 1901 r. i podjętą przezeń akcyę budowy kanałów spławnych z wielkim aplauzem i zapałem. A rozczarowani dotychczasową bezczynnością rządów następnych — nie widząc do niedawna żywszej walki za powyższą sprawę po naszej stronie, głoszą w poważnych pracach naukowych, że tej niezmiernie doniosłej dla cywilizacyi ustawy nie wykonano, natrafiło to bowiem na niczem niewytłumaczony, a nierozumny opór w krajach zainteresowanych, a przedewszystkiem w Galicyi. Kraje te z niedających się uzasadnić przyczyn sprzeciwiają się dobroczynnym zamiarom rządu centralnego, udaremniają jego cywilizacyjne zapędy. Jest nadzieja jednak — pociesza się prof. Eckert, że z postępem kultury korzyści, jakie płyną z budowy dróg wodnych, zostaną uznane i w krajach powyższych, a wtedy prysną najpoważniejsze zapory, wstrzymujące dziś wykonanie tego międzynarodowego projektu. Czyżby te zdania urągliwe miały choć cień słuszności?

Pozostawmy jeknak to pytanie, jak i projekt międzynarodowego połączenia spławnego Europy środkowej na boku. Nie rozstrzygajmy, czy jest on możliwym do wykonania w epoce olbrzymich zbrojeń i czy dyplomacyi europejskiej udałoby się ewentualnie pokonać olbrzymie trudności z tem złączone, jeżeli, jak słusznie podnoszą, nie udało się w Niemczech stworzyć wspólnej i jednolitej sieci kolejowej.

Wykazując organiczną wprost łączność, jaka zachodzi pomiędzy projektowanemi galicyjskiemi drogami wodnemi a światową siecią dróg spławnych, chciałem podkreślić równocześnie nicość podstawową, na której opierają swe zarzuty przeciwnicy ustawy z 1901-go roku, powołujący się między innemi na panujące jakoby w Europie zniechęcenie do dróg wodnych i zaniechanie inicyatywy na tem polu przez inne państwa.

Mówić o zniechęceniu opinii fachowej do idei dróg spławnych w chwili, w której korzyści kanałów uznano powszechnie, wydać się może ironią, albo też z gruntu fałszywą, uboczne cele mającą na oku tendencyą.

Zarzuty te są w dobie obecnej tem niefortunniejsze, że idea dróg wodnych właśnie dziś zwycięża na całej linii w kulturalnym świecie. I, jak z jednej strony olbrzymi wzrost kontynentalnego życia gospodarczego przypisują słusznie dobroczynnemu wpływowi kolei żelaznych, tak z drugiej strony podkreślają już dzisiaj z naciskiem fachowcy, że sprawność dróg żelaznych jest wyczerpaną, w następstwie czego nie zdołają one w najbliższym czasie podołać obecnemu ruchowi.

Czyż nie zakrawa to na żart niewczesny, jeśli się mówi o zaniechaniu inicyatywy na tem polu w chwili, w której Anglia projektuje duży kanał szkocki, Belgia dąży do upaństwowienia swych dróg wodnych, by je rozszerzyć i powiększyć znacznie, Niemcy pomimo rozległej sieci dróg spławnych, projektują nowe, kosztem 500 mil. marek, a nawet Rosya dąży do połączenia swych wielkich rzek poprzecznymi kanałami, by wytworzyć przez to jednolitą sieć dróg spławnych, aż do Władywostoku i uzyskać możliwość eksploatacyi niewyczerpanych skarbów Syberyi i krain uralskich.

Zamiary zaś Stanów Zjednoczonych, podniesione w latach ostatnich w tym kierunku, wznieciły popłoch ogólny w Europie. Bo nie o drobne przedsięwzięcie w danym wypadku sprawa się toczy, lecz o wybudowanie olbrzymiego kanału, któryby połączył całe wnętrze Ameryki Północnej z Oceanem — a, prowadząc ową tanią arteryą komunikacyjną olbrzymie zapasy zboża amerykańskiego i rud żelaznych, wytworzyłby silną, na zdrowych podstawach opartą konkurencyę dla starego kontynentu. Ułatwiłoby to znacznie Stanom Zjednoczonym zdobycie i opanowanie zupełne wszechświatowych rynków handlu i przemysłu, przez co zaciążyłyby one swym wpływem w daleko większym, niż dotychczas, stopniu na Europie. Obawa przed tak doniosłemi konsekwencyami stwarza gorączkowy ruch w Niemczech i innych europejskich państwach, wznawia wielkie projekty w rodzaju omawianego kanału środkowo-europejskiego.

Europa — pomimo swego kulturalnego rozwoju mocno się starzeje — wołają technicy amerykańscy, a ich koledzy europ., uznając zarzut powyższy, jedyny ratunek przeciwko kompletnemu upadkowi starego lądu widzą w wielkich inwestycyach i budowlach wodnych.

Zdala od tych gorączkowych usiłowań, nie biorąc w ruchu powyższym żadnego udziału, pozostaje Austrya.

Sąsiadując z krajami o wysokiej kulturze wodnej, gospodarowała ona dotychczas w sposób barbarzyński na polu gospodarstwa wodnego. Zaniedbywała doskonałe wprost warunki naturalne, które pozwoliły jej wykorzystać środkowe w Europie położenie, celem zogniskowania u siebie ruchu handlowo-przemysłowego pomiędzy Wschodem i Zachodem. — Tę jej bierność wyzyskują doskonale Prusy, stokroć gorzej od Austryi geograficznie położone, które pracują wciąż nad przedłużeniem swych dróg spławnych na wschód, w celu złączenia ich z rosyjskiemi komunikacyami i celem ujęcia w swe ręce międzynarodowego ruchu handlowego, jaki przez Rosyę i z Rosyi dąży na Zachód.

Brak zrozumienia tych rzeczy u nas spowodował, że do dnia dzisiejszego żyjemy tylko nadzieją posiadania dróg spławnych — nie ruszono jednak dotychczas rydlem, podczas gdy wedle ustawy kanał między Krakowem a Wiedniem powinien być już na ukończeniu.

Ostatnie rozpisanie licytacyi ofertowej na bardzo nikłej przestrzeni, bo 12·4 klm., brak zapewnienia funduszu budowy w najnowszym budżecie austryackim, brak noweli kanałowej, mającej skutecznie unormować te sprawy, a nieujawnianej dotychczas pomimo ciągłych obietnic ze strony sfer centralnych, a wreszcie zagadkowe, pełne tajemnic milczenie najodpowiedzialniejszego dziś stróża sprawy kanałowej, p. Bilińskiego, który się poczuł aż tak żarliwym obrońcą idei dróg wodnych w Galicyi, że nie chce dziś nikogo dopuścić do targów osobistych z rządem, strzegąc prawdopodobnie laurów jedynego zwycięzcy w tej sprawie, które go niechybnie w przyszłości czekają. — Wszystko to są niezmiernie niepokojące objawy.

Nauczeni smutnem doświadczeniem, gotowi jesteśmy przypuszczać, że w danym wypadku idzie o wybudowanie krótkiego, a więc bezwartościowego kanału od Krakowa do granicy śląskiej, co przyniosłoby nam stanowczo więcej szkody, aniżeli pożytku, tak z narodowych, jak i ekonomicznych względów. Te szkody spotęgowałyby się jeszcze przez odwrócenie ustalonej przez dyrekcyę budowy dróg wodnych trasy na Jaworzno, a więc przez zbliżenie kanału galicyjskiego do Śląska pruskiego i dawnego kanału Kłodnickiego, który, odnowiony, ułatwiłby Prusakom, w połączeniu z kanałem galicyjskim, walkę gospodarczą i polityczną z nami. A trzeba pamiętać, że Niemcy rozporządzają już dzisiaj rozległą siecią dróg wodnych, zdobycie więc bezpośredniego połączenia z Galicyą, byłoby upragnionem przez nich zakończeniem tej sieci, przy pomocy której zasypaliby Galicyę swymi wytworami przemysłowymi. Trudno pojąć, z jakich pobudek kopalnie węgla kamiennego już istniejące mogły nie widzieć tej groźnej konkurencyi w węglu pruskim, jakaby powstała przez realizacyę ich pomysłów.

Jest jednak faktem, że w chwili, ogólnego wysiłku — w chwili, w której solidaryzują się ze sobą wszystkie polskie stronnictwa, by wywalczyć dla kraju spełnienie najdonioślejszego w obecnej dobie postulatu ekonomicznego Galicyi — padają przykre słowa, zawarte w memoryale Rady powiatowej chrzanowskiej: „Albo przełożycie kanał na lewy brzeg Wisły, uwzględniając istniejące kopalnie zagłębia Krakowskiego, albo nie chcemy wcale dróg wodnych w Galicyi".

Więc lat dziesięciu potrzebowali panowie z zagłębia Krakowskiego, by się namyśleć, jaka droga wodna będzie dla nich najkorzystniejszą? I dopiero obecnie żądają zmiany kierunku trasy, kiedy już wszystko na tej przestrzeni kanałów galicyjskich jest ustalone, a podniesiona przez nich myśl dawno odrzucona, wskutek niemożliwości skanalizowania Wisły i trudności techniczno-geologicznych, na które natrafiono na lewym brzegu Wisły.

Odnoga kanału, przeprowadzona koło Oświęcima na Jaworzno, stworzyłaby bezpośrednie połączenie już istniejących kopalni węgla z właściwą linią dróg wodnych. Żadną więc miarą nie wolno poszczególnym przedsiębiorstwom węglowym osłabiać akcyi kraju z tego tylko względu, że poprowadzenie trasy prawym brzegiem Wisły na Zator, Dziedzice jest połączone dla nich z niewygodami przeładowywania towaru. Jest rzeczą niewątpliwą, że przy budowie dróg wodnych w Galicyi uwzględnić przedewszystkiem trzeba interesy przemysłowe zagłębia Krakowskiego, a rodzimy węgiel kamienny i jego bogate złoża otoczyć pieczołowitą opieką, w nich bowiem leży cała przyszłość kraju. Pamiętajmy jednak równocześnie o tem, że ustalona już trasa kanałowa przecina znaczną połać zagłębia Krakowskiego, w której eksploatacya węgla kamiennego jest rzeczą niedalekiej może przyszłości. Kopalnie już istniejące nie mogą skarżyć się na brak opieki ze strony kraju. Wybudowano dla nich bowiem w niedawnej przeszłości specyalne linie kolejowe, które służyć mają przedewszystkiem krajowemu przemysłowi węglowemu. Dziwnie przytem wygląda w tej sprawie następujący zbieg okoliczności. W sierpniu b. r. wysłało ministerstwo handlu inżynierów wiedeńskich do Galicyi, w celu prowadzenia studyów nad przełożeniem trasy kanałowej na lewy brzeg Wisły, na zachód od Krakowa. Wskutek żywszych protestów opinii publicznej w kraju, odwołano jednakowoż szybko „studyujących" Niemców po to, by myśl tę samą podniosły dzisiaj czynniki krajowe.

Skutek tego postępowania; z czyjejkolwiek wypływa ono inicyatywy, jest fatalny. Rozdwojenie żądań kraju, stępienie ostrza broni, przy pomocy której wywalczać sobie musimy u rządu centralnego poszanowanie sankcyonowanych i do dnia dzisiejszego prawomocnych ustaw, stwarzanie skutecznych argumentów, którymi zwalczać będą wrogowie nasi w niedalekiej może przyszłości usiłowania kraju, podjęte w kierunku założenia zdrowych fundamentów pod wielki przemysł rodzimy, oto bezpośrednie następstwa godnej najżywszego napiętnowania akcyi Rady powiatowej w Chrzanowie i odnośnych przemysłowców węglowych.

Jeszcze wielkiego przemysłu nie mamy, znajdując się po dzień dzisiejszy w błędnem kole osławionej, galicyjskiej nędzy i ciemnoty, zależności od obcej produkcyi i braku możliwych zarobków w kraju i niemocy ekonomicznej, a mamy już sprzeczne interesy poszczególnych ognisk przemysłowych. Sprzeczności owe tak poważne przybrały niestety w danej sprawie rozmiary, że spowodowały stworzenie alternatywy, żądającej bezwarunkowego spełnienia egoistycznych żądań naszych przemysłowców węglowych, albo też bezwzględnego

zaniechania budowy dróg spławnych w Galicyi, mających niezmiernie doniosłe znaczenie dla całego kraju.

Czas byłby najwyższy gruntownej poddać rewizyi postępowanie w tej sprawie poszczególnych interesentów. Czas usunąć sprzeczne zdania, jakie panują w tej mierze pomiędzy przemysłowcami zachodniej i wschodniej Galicyi, a przez ujednostajnienie swych żądań — dać im taką zwartość, moc i siłę, że przygłuszyłaby ona partykularną wyłącznością nacechowane zapędy poszczególnych klik, Koło zaś polskie popchnęła na drogę energiczniejszej, a szczerszej — niżli to było dotychczas — obrony zagrożonych po dzień dzisiejszy interesów całego kraju.

JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.



Zawahał się przez sekundę, ale coś go wstrzymało i wyszedł na werandę, a stamtąd przed dom, gdzie koło wielkiego klombu stała panna Czesława z Tecią i pani Marta z Manią i Antkiem.

Towarzystwo było rozbawione.

Antek błaznował, opowiadając coś z komiczną gestykulacyą, aż pani Marta się zupełnie rozchmurzyła, wybuchając hałaśliwym, nieco piskliwym śmiechem. Panna Czesława o kilka kroków za nimi słuchała znów zwierzeń Teci, przyczem obydwie, również ze śmiechem, całowały się co chwila.

Antek, zobaczywszy Julka, podbiegł ku niemu w podskokach, rozpędził się i przewrócił świetnego kozła, dwa razy stanąwszy na rękach w przelocie. Potem chwycił Julka za rękę, pociągnął przed panią Martę i zarekomendował:

— Autentyczny warszawiak, artysta z bożej łaski, socyalista, anarchista, cierpiący za ojczyznę, dekadent zakochany bez wzajemności. — Jeżeli on pani nie zabawi, to sprowadzę samego Puzynę, albo Daszyńskiego. Tararabumdarakatasontalapilatomikantala! — wrzeszczał Antek bez sensu i powtarzając jeszcze tysiące podobnych sylab tak szybko, że poprostu mu warczało i laskało w ustach, jak w maszynie. Przewracał przytem oczyma, pokazywał zęby swojej ogromnej paszczy, wreszcie znowu wywrócił kozła, nie przestając powtarzać błazeństw. Wszyscy śmieli się jak szaleni, działało to tak bezpośrednio na nerwy, że Julek aż pokładał się ze śmiechu, a pani Marta wzięła się za boki i piszczała, wołając:

— Dosyć, dosyć!

Zrobił się taki nastrój, że dość było palcem zakrzywić, a wszyscy się śmieli. Kiedy Julek zawiadomił, że można już iść do lasu, bo stryjenka później przyjdzie; przyjęto wiadomość ogłuszającemi krzykami, a ponieważ Antek znowu zaczął fikać i błaznować, pomimo nawoływań pani Marty, ta zaczęła go gonić, wołając, że go wytarga za uszy. Antek uciekał i całe towarzystwo wybiegło na drogę. Antek miał dobre nogi, ale pani Marta też. Gonili się po rżysku, zabiegali sobie drogę, wreszcie pani Marta musiała dać za wygranę. Wtedy dopiero obejrzała się kilkakrotnie w stronę domu, z którego nareszcie wyszedł Wapowicz i machając laseczką zbliżał się do towarzystwa.

Pani Marta spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale Antek był już koło niej i prawił komplementy, wzdychając i nawpół na seryo przekonywując ją, że ma w nim śmiertelnie zakochanego wielbiciela. Miał chłopak 17 lat, nie cierpiał Wapowicza i zwierzał się potem Julkowi, że dałby sobie rękę uciąć, żeby mu ją odbić. Panią Martę bawiło to, radziła mu, żeby sobie codziennie wylewał na głowę kilka konewek wody i lubiła jego sztubackie kawały. Antek mełł językiem bez przerwy, prawił androny o swojej sile, zręczności, konnej jeździe, błaznował, robił słodkie oczy (a miał śliczne, wielkie, czarne, jak węgle), nosił strój myśliwski z pończochami, które uwydatniały jego mocne, zgrabne łydki, czernił sobie zaledwie wyrastający meszek nad wargami, zapewniał, że miał 20 lat, śpiewał kabaretowe piosenki, grywał na gitarze przy świetle księżyca i jak mógł przylepiał łatki Wapowiczowi, wcale sprytnie udając, że go chwali.

Czasem nudziło to panią Martę, ale teraz podniecała Antka do coraz zabawniejszych wybryków, udając, że mu nie wierzy i wciąż wybuchając śmiechem. Nie spojrzała już w stronę Wapowicza, który zaczął flirt z panną Czesławą.

Julek na ten widok doznał prawdziwej przykrości tem bardziej, że raz jeszcze błysnęły mu te same olśniewające, nieświadomie ciekawe, głębokie, przepiękne oczy i zakłuły go w samo serce. Ale wzruszył ramionami.

— Cóż mnie to obchodzi? — próbował wmawiać w siebie. — Niech się nawet tu zaraz całują!

Jednak nie mógł spokojnie znieść tej myśli — i dlatego tembardziej zbliżył się do Antka i Marty i wkrótce pomagał już im do prawienia zupełnie pensyonarskich głupstw na tle miłości. Wszyscy, jak się zdawało, bawili się znakomicie.

Nagle pani Marta zawołała:

— No, a teraz niech pan mnie goni! — i szybko jak wicher poczęła biedz w pole ścieżyną na ugorze.

— A jak złapię to co? — zawołał za nią Antek.

— To pana pocałuję!

Antek puścił się za nią, Julek, nieco zdziwiony, również. Pani Marta, której płowe włosy rozwichrzyły się, uciekała tak prędko, że silni chłopcy nie mogli jej uchwycić. Wreszcie znalazła się w punkcie, z którego wybiegła i z rozpędu wleciała (przypadkiem?) na Wapowicza. Potrąciła go tak silnie, że o mało nie upadł, zawołała szybko:

— Przepraszam! przepraszam! — i przypiwszy

się do Mani, która chwilowo szła sama, zadyszana krzyknęła chłopcom:

— A co? — wstyd! Nie złapaliście mnie!

Oczy jej płonęły, twarz stała się purpurowa, włosy rozrzucone wisiały w nieładzie, nozdrza rozdęły się, pierś falowała. Miała w sobie coś z drapieżnego zwierzęcia, wyglądała jak pijana, czy szalona.

— A co? — dobre mam nogi? — powtarzała tryumfalnie, śmiejąc się, jakby z przymusu.

Antek, który ją dogonił tuż przy Mani, upominał się o nagrodę.

— To się nie da zrobić! — ucięła rubasznie, — patrząc mu w oczy ze złym uśmiechem.

Wkrótce podszedł do niej Wapowicz.

— Nie umiałbym tak biegać, za starym już na to! rzekł uśmiechając się, ale w jego dość cieńkim, przyciszonym, nerwowym głosie brzmiał odcień smutku.

— Tak? — odpowiedziała pani Marta, patrząc mu w oczy tkliwie i dziwnie badawczo zarazem.

Połyskujące zlekka policzki Wapowicza zadrgały, małe oczy zamigotały. Zaczął mówić pospiesznie, nerwowo.

— Nie mogłem znaleźć kapelusza. Właściwie kapelusz na wsi to przesąd, ale ja tak, jak żyd, bez kapelusza nie potrafię chodzić, jakby mi głowy brakowało. Więc zacząłem szukać.

— Niechże pan strzeże głowy, jeszcze ją panu kto zabierze! Nie wie pan, czy pani Bielska już nie pójdzie?

— Nie. Właśnie kazała powiedzieć, że woli zostać w domu, ma tam jakieś konfitury do roboty, czy coś w tym guście.

Marta wciąż patrzała mu w oczy, wreszcie roześmiała się niespodziewanie.

– Pan czasem tak jakoś odpowiada, że mogłabym nabrać o panu dziwnego wyobrażenia. A raczej dziwnego pojęcia o tem, co pan o mnie myśli.

— Jakto? — spytał Wapowicz, któremu twarz wydłużyła się komicznie.

— Czy panu się zdaje, że by mnie pan choć trochę interesował, gdyby... tak mogło być, jak to nieraz słyszałam? — gdyby było choć jakieś prawdopodobieństwo?..

Znów się roześmiała. Wzięła go za rękę i chwilę tak szli, zapominając widocznie, że nie byli sami.

Julek odszedł od tej pary. Zrobiło mu się strasznie smutno. Czuł, że tu się dzieje coś, jakby zbrodnia — jakieś w każdym razie brzydkie przestępstwo. Rozumiał, że Wapowicz grzeje się przy tym żywym płomieniu, który otulał cudze serce, że czyni to z całym cynizmem i że przytem Marta obchodzi go nie więcej, niż każda inna kobieta, któraby się skłaniała ku niemu w tej wiejskiej pustce. Zrobiło mu się żal Marty, Andrzeja... wściekłość na Wapowicza. Cóż Julka Marta obchodziła? Nic. Julek nie potrafiłby myśleć o cudzej żonie. Przedewszystkiem dlatego, że cudza, a potem dlatego... że ją obejmowały cudze ramiona, całowały cudze wargi, nie taka kobieta nie istniała dla niego. Ale mu żal było jej — ach jaki żal — chciałby ją ostrzedz — niech nie będzie zabawką Wapowicza.

Podszedł do panny Czesławy i Teci i odrazu zwierzył im się z tych myśli, tak, jakby panna Czesława była jego powiernicą od dzieciństwa. Mówiąc to, był wzruszony i spoglądał na nią z nieświadomem uwielbieniem.

Tecia i Czesława stanowiły uderzający kontrast. Tecia, lekka, wiotka blondyneczka, była samym wdziękiem. Oczy jej błękitne i delikatna twarzyczka, różowe, drobne usteczka, dołeczki na policzkach, mały ruchliwy nosek, wszystko to śmiało się w niej, mieniło się, dowcipkowało, wabiło. Czesława, której szara suknia odbijała od jasno-błękitnej, powiewnej sukienki Teci, nie wiele od niej wyższa, nosiła w pełnych kształtach ciała powagę skupionej namiętności, słodycz i siłę. Olśniewające jej oczy błyszczały głębią intelligencyi, która płynie z duszy wiecznie płonącej, otwartej najszaleńszym marzeniom. Żar bił z jej jasnej dużej twarzy, z jej zdrowych rumieńców, z jej białej szyi, z ust pełnych, bezbrzeżną słodyczą płonących, z piersi wysokich, oczekujących kochanka, z mowy przytłumionej, co jakby się bała słów, aby nie zdradziły pożarów dziewczęcego serca, — z czoła otwartego, wielkiego i równie delikatnie zarysowanego, jak u Newtona, z szczerości, którą wyrażała cała jej postać, napróżno starająca się zataić, że myśli o kochaniu każdą cząsteczką ciała, każdym odruchem duszy, zataić tę gotowość do namiętnych, straszliwych uniesień, od których przytomność odbiega, zmysły szaleją i dusza w omdleniu szlocha. Dobroć w niej była i cisza, kryjąca dumę i płomienie.

— Czy pan znał Martę dawniej? — odpowiedziała pytająco Czesława z tym nieokreślonym uśmiechem, który odtąd zawsze miała na ustach, gdy rozmawiała z Julkiem. Julek nie zastanawiał się nad rodzajem tego uśmiechu, ale odczuwał go, jako sympatyę. Było w nim jakieś nieustające zdziwienie, czy ironia, ale raczej zwrócona do siebie samej, niż do Julka, który mimowoli wpadał w ten sam ton.

— Prawie wcale. Tyle tylko, że widziałem ją razem z Andrzejem jeszcze przed ślubem. Tak się kochali...

— A widzi pan, jak to nie można wierzyć kobiecie.

— Pani tego nie mówi na seryo. Jestem przekonany, że w tem jest coś, czego my nie wiemy Strasznie mi żal tej Marty.

— Pan musi być bardzo wpływowy.

„Mówi się: wrażliwy“ — pomyślał Julek, zadowolony, że może coś zarzucić pannie Czesławie.

— Nie... no tak, dosyć — odpowiedział. A pani znała dawniej panią Borczyńską?

— Owszem. To moja serdeczna przyjaciółka. Dziwi mnie właśnie, że pan tak poznał, jaka ona jest. Nie lubią jej tutaj.

— O, ja ją bardzo kocham! — zawołała Tecia.

— Ty, tak, ale cała okolica? — Czego na nią nie wygadują, to obrzydliwość słuchać.

— No dobrze, ale czego ona tak — z tym Wapowiczem...

LAURA WAJDOWNA

PODRÓŻY MOJEJ KRES...

Podróży mojej kres już snadź się zbliża...
Rozmyślam w trwodze,
Czyli napotkam kwiaty zamiast krzyża
Na mojej drodze?

Złowróżbny blask mi w oczach skrycie płonie —
Gdy się dopali,
Czy kto ze smutnych nazwie mię po skonie
Swą Ulajali?

Czyli zasadzi tam... na mym ugorze...
W pierwszą wigilię
Goździki krwawe, niby jutrzni zorze,
I białe lilje?

Oby mi tem był płomień mej gromnicy,
Czem na choince
Ze szychu złote włosy anielicy
Chorej dziewczynce!...

NOWE PRÓBY UGODOWE W POZNAŃSKIEM.

Ma tedy ziemia wielkopolska nowego wielkorządcę. Miast dotychczasowego bowiem naczelnego prezesa prowincyi, von Waldowa, zarząd Księstwem Poznańskiem objął dr. Schwarzkopf, potąd podsekretarz stanu w ministeryum oświaty i wyznań, stary biurokrata pruski.

W stosunkach wielkopolskich każda zmiana prezesa prowincyi to wypadek znaczenia poważniejszego. Nie dlatego, by zaraz dopatrywać się w zmianie osób zmiany kierunku, lecz z tego chociażby względu, iż naczelny prezes prowincyi poznańskiej posiada tak znaczną władzę dyskrecyonalną, mocen jest wydawać tyle rozporządzeń samodzielnych, normować mających życie zbiorowe w Poznańskiem, jak żaden w Prusiech, w innych państwa pruskiego prowincyach — najwyższy naczelnik władz administracyjnych. To też osoba prezesa prowincyi, jego charakter i takt nietylko polityczny, ale i wyłącznie osobisty nabierają w tych warunkach cech, interesujących cały politycznie myślący ogół polski w zaborze pruskim, zajmują żywo publiczną opinię tamtejszą.

Rzecz prosta, iż ogólne zainteresowanie obraca się wokół stosunku nowego prezesa prowincyi poznańskiej do kwestyi polskiej. Gdyby kierować się w tej sprawie wyłącznie przeszłością, gdyby chcieć mierzyć nowego wielkorządcę miarą takich ludzi, jak dotychczasowy Poznańskiego prezes, von Waldow, przeniesiony, dodamy, w takim samym charakterze do matecznika pruskiego konserwatyzmu, do gniazda junkierstwa — na Pomorze, wówczas dr. Schwarzkopf z tego rodzaju porównań i badań wyszedłby całkiem zwycięsko.

Von Waldow zdecydowanym był przecież hakatystą, otwarcie wypowiadającym się ze swemi sympatyami dla hakatystycznego Ostmarkvereinu. Gorący zwolennik pruskiej kolonizacyi, parł z całej swej mocy na sfery rządowe berlińskie w kierunku stosowania prawa o wywłaszczeniu. Zausznik to przecież Bülowa; z jego ramienia przysłany do stolicy wielkopolskiej, celem prowadzenia antypolskiej akcyi na miejscu, na ziemi polskiej, pomimo upadku swego protektora, ani przez moment nie zeszedł z wytkniętej linii swego politycznego postępowania. Był też Waldow dla hakatystów wszystkich odcieni wyraźnym w kwestyi polskiej programem, oznaczał dla nich zdecydowanie i nieugiętość w rzeczach, polityki polskiej dotyczących. Stąd też tak wielki i popłoch i lament w hakatystycznych szeregach, które uważają już samo usunięcie Waldowa z prezydyalnego pałacu poznańskiego za zmianę kierunku w dotychczasowej polityce rządu względem Polaków, za poważne zachwianie zasady wywłaszczenia w antypolskiej polityce rządu pruskiego.

Dr. Schwarzkopf przecież tak wyraźnej, w granicach polityki polskiej, przeszłości nie posiada. Przez długi szereg lat zajmował jedno z miejsc najwyższych w ministeryum oświaty, odznaczając się swym ultra-konserwatywnym poglądem we wszelkich zagadnieniach pruskiej polityki szkolnej i wyznaniowej. Tem nie mniej jednak, w rzeczach ludności polskiej dotyczących, jego konserwatyzm w sprawach wiary ustępował miejsca racyi stanu, której podstawy stworzył Flottwell, zmodyfikował Bismark, która jednak w ciągu ośmdziesięciu prawie lat pozostała niezmienioną. Nikt inny, tylko Schwarzkopf, występował w sejmie pruskim z ławy ministeryalnej za utrzymaniem wykładowego języka niemieckiego przy nauczaniu nawet religii w szkołach ludowych, do których uczęszczają dzieci polskie. I chociaż w ten sposób znajomość zasad religii mocno ucierpieć musiała, to jednak ultra-konserwatywny i w rzeczach wiary dr. Schwarzkopf, pierwszeństwo dał czynnikowi politycznemu; ważniejszemi dlań były korzyści królewskie, niż boskie. Aleć była to dziedzina polityki antypolskiej nie tak bezpośrednia, jak pole politycznej działalności Waldowa. Dr. Schwarzkopf jest więc z tych powodów dla hakatystycznych kół w Prusiech człowiekiem bez faktycznej przeszłości w rzeczach polityki polskiej. Jest „białą kartą“, zgoła niezapisaną, która nie wiedzieć przecież, jak będzie zapisaną, czy wedle stylu i ortografii hakatystycznej, czy też wedle metody tych konserwatywnych kół pruskich, które, o ile są zdecydowanymi zwolennikami państwowej kolonizacyi „kresów wschodnich“, którą nawet uważają za „dzieło kulturalne“ (Kulturwerk), to jednak nie mogą pogodzić zasady wywłaszczenia ze swym „konserwatywnem sumieniem“, co najważniejsza, obawiających się, że zastosowanie przymusowego wywłaszczenia niepomiernie obniży ceny ziemi, którą obecnie drogo sprzedają czy to komisyi kolonizacyjnej, czy też nawet polskim biurom i spółkom parcelacyjnym. Dr. Schwarzkopf sam wielki obszarnik poznański, do tych właśnie kół konserwatywnych należy, zarówno ze względu na swe „konserwatywne“ sumienie, jak i z obawy, by cena ziemi znacznie nie spadła, a tem samem i wartość jego majątku niepomiernie się nie obniżyła.

Podczas kiedy tęn brak „polskiej“ przeszłości

w biurokratycznej karyerzei nowego wielkorządcy poznańskiego jest dla hakatystów przyczyną obawy, której nie zdołało przecież uspokoić kanclerskie *nunquam retrorsum* u konserwatystów polskich w Poznańskiem, tenże sam brak przeszłości budzi naiwne nadzieje na przyszłość. Jest to już cechą konserwatyzmu, że zazwyczaj niczego się nie może i nie chce częstokroć nauczyć, o wielu natomiast rzeczach zapomina pochopnie. Zapomniała widocznie konserwatywna grupa poznańska o krótkiej erze polityki ugodowej za czasów kanclerstwa Capriviego, zapomniała, pomimo, iż niedawno przecież, z powodu śmierci Kościelskiego, przypomniano z rozmaitych stron, jak kruche były podstawy politycznych działań i zabiegów, opartych na kapryśnej przyjaźni królewskiej. Zapomniała widocznie, albowiem z okazyi mianowania Schwarzkopfa prezesem naczelnym prowincyi poznańskiej, z powodu zmiany tylko osób, bez faktycznego poniechania stosowanego potąd przez rząd pruski systemu antypolskiego, w pewnych kołach konserwatywnych na nowo rodzi się myśl stosowania polityki ugodowej. Ma to być wyciągnięcie ręki do zgody z polskiej strony, ma to być poczynienie pierwszego kroku w kierunku stworzenia nowo-kościelszczyzny, pomimo, iż w danym wypadku nawet oprzeć jej nie można na osobistej przyjaźni króla pruskiego.

W gruncie przecież rzeczy ugoda była dominującym czynnikiem w parlamentarnej akcyi polskiej w zaborze pruskim. Dosyć chyba przypomnieć wystąpienia Dziembowskiego i ks. Jażdżewskiego, prezesa Koła sejmowego, by uprzytomnić ugodowe podstawy polityki polskiej. Robiło się to jednak niewyraźnie, nie nazywało się to oficyalnie polityką ugodową, jeno „zdrową“, „rozumną“ akcyą polityczną. Dzisiaj prawicy konserwatystów poznańskich idzie o to, by ugodzie nadać z powrotem prawa obywatelstwa w życiu zbiorowem polskiem, by znów ją otwarcie wyprowadzić na polityczną powierzchnię, by znów nią zamącić polityczne wody, bo tylko w zamąconych „ugodą“ politycznych wodach czuje się konserwa swojsko, bo tylko w takich warunkach ratować może intensywnie swoje kastowe interesy.

Nominacya Schwarzkopfa, usunięcie z Poznańskiego Waldowa to tylko zmiana osób. To zgoła nie poniechanie antypolskiego systemu. W polityce antypolskiej rządu pruskiego nazwisko zgoła nic nie oznacza. System bowiem trwa od lat ośmdziesięciu i on wyłącznie decyduje o kierunku polityki rządowej i jego organów względem Polaków. Era ugodowa trwała zaledwie lat parę i była jeno epizodem, bez poważniejszego zgoła znaczenia dla polskiej polityki rządu.

O tych niezbitych faktach nie pamiętają zupełnie te koła konserwatywne, dla których ugoda stała się drugą naturą i które zupełnie niezdolne są obecnie do innej akcyi politycznej, jak tylko do powtarzania smutnych doświadczeń Kościelskiego, który przecież o tyle był uczciwym politycznie, że przekonawszy się o bezcelowości swego kierunku, zupełnie polityką zajmować się przestał.

Takiej zaś uczciwości brak wielu konserwatystom poznańskim.

BERLIN 17. października 1911. K. FRECH.

Z TEATRU.

(„Oblubienica morza“ — dramat w 5 aktach Henryka Ibsena. Jubileusz Adolfa Walewskiego).

(S. F.) Roześmiał się stary Ibsen w piątym akcie tak serdecznie na cały teatr, jak nigdy przedtem. Ubawiła go publiczność, z której zażartował, jak z dziecka.

W „Oblubienicy morza“ wspiął się już na tak wysoki punkt obserwacyjny, iż stamtąd zawikłania etyczne i społeczne widziane, dawniej tak poważne i tragiczne, tracą swą grozę, a ludzi ogląda już jak małe mrówki, jak jednodniówki, dręczące siebie i innych, wikłające się w kółka i kółeczka — zdawało się dawniej bez wyjścia, dziś nie tak straszne, a nadewszystko śmieszne. Z tego punktu obserwacyjnego dojrzeć już nie można — chyba przez szkła powiększające — tych tęsknot do wolności i całkowitego zjednoczenia się z najwnętrzniejszą istotą swoją. Są to już tylko marzenia karasiów z bagnistego stawku o fiordzie niedaleko błękitniejącym.

I zaśmiał się stary myśliciel. Z techniką nadzwyczajną powiązał i motywami psychologicznymi podparł całą budowę, na której szczycie błysnął mistrzowski efekt: wybór pani Wangel zupełnie wolny między obcym a mężem, który dla uratowania jej chorej duszy rzucił ostatnią stawkę — dał jej wolność zupełną... Scena ta nie zawiodła. Publiczność, jakby niepomna poprzednich piątr budowy, zahypnotyzowana głosem pani Wangel, żądającym wolności, z przed oczu straciła żelazne prawa logiki ibsenowskiej — żywiła, jednem słowem, jeszcze nadzieję, że bohaterka m o ż e pójść za głosem dawnej tęsknoty.

Jak pani Wangel nieświadoma, bez mocy, bojąc się zobaczyć jasno swą nędzę, targa się i oszukuje, by wolnym wyborem uświęcić pławienie się w bagienku z karasiami, by zabić te reminiscencye morza, jego grozy i bezmiaru w sobie, tak publiczność łudziła się do ostatniego momentu. A śmiech Ibsena dźwięczał bezlitośnie w słowach Ballesteda w tem długiem zdaniu: wszak można się zaaklimatyzować — prawda, Ellido Wangel? — Zupełnie tak — cieszy się ten zaaklimatyzowany malarz, tancmistrz, muzyk i fryzyer — jak na mym obrazie. Tylko mała różnica: syrena na obrazie ginie w bagnie nadbrzeżnem, nie mogąc wydostać się z powrotem na morze...

Ibsen z uśmiechem mądrego staruszka służy na scenie obrazkami, na których pokazuje niedowiarkom, jak to sprzedaje się z wielką nieświadomością i z brakiem odpowiedzialności za ten czyn swą wolność i swe ciało, tęsknotę do prawdziwego życia i prawa do niej. Boletta oddaje się swemu dawnemu nauczycielowi, by za cenę swej wolności kupić prawo do wypłynięcia w daleki świat, do pogłębienia swych wiadomości o świecie. Ibsena bawią takie błędne kółka, jakie istotki z nad fiordu około siebie zataczają i w jakich poczynają wiro-

wać. Tak samo bawi go Lyngstrand, noszący w swych piersiach zaród śmierci i nad grobem jeszcze oszukujący się doskonale wyjazdem na południe i stworzeniem wielkiego dzieła. Takie wielkie dziecko, tak śmieszne w swym egoizmie artystycznym!

Czyż tęsknoty pani Wangel były już z góry przeznaczone na zagładę? Więc widza łudził autor, jak łudziła się i oszukiwała „Oblubienica morza“ aż do piątego aktu? A może stary matematyk sceniczny, tak w swej żelaznej konsekwenkcyi nieubłagany, rozczulił się męką pani Wangel, dał się przebłagać jej pokutą i dozwolił na dobrowolny wybór, by w ten sposób mogła naprawić dawny błąd?

Takie pytania mogą się nasunąć widzowi, którego autor w rozczulającej scenie zupełnego pogodzenia się Ellidy z mężem całkowicie przekonał i — trzeba dodać — najtajniej żywioną sympatyę do tego bagienka zadowolił. Obcy człowiek, „który jest jak samo morze“ zmienne, grozą przejmujące, bezmiarem swym do siebie wabiące — zginie na zawsze dla Ellidy, już nawet we wspomnieniach nie wróci i nie zakłóci barwą swych oczu bagiennego spokoju stawku nad fiordem. Ellida wróci w ramiona dobrego, starzejącego się doktora Wangla i jego córek, którym przecież musi zastąpić zmarłą matkę. Wszak czekają na nią obowiązki, jakich nie uświadomiła sobie, gdy zgodziła się przed laty na małżeństwo z doktorem...

Ależ tak — odpowiada Ibsen — Ellida m o g ł a rzucić ten zacny, spokojny dom i popłynąć z Obcym na dalekie, nieznane morze, na nowe życie — któreto przypuszczenie później sama nazwie głupstwem — gdyby przenikliwy i dobry lekarz sprzeciwił się, korzystając z praw, przysługujących mężowi. Nie zrobił tak, gdyż był nie tylko egoistą, lecz był także słaby i kochał Ellidę. — Tak, tak, doktorze Wangel, gdybyś w swym uporze sprzeciwił się do końca, kapryśne dziecko, czekające na twe przyzwolenie, byłoby na przekór palnęło to głupstwo.

Nie rozumiem, dlaczego krytycy uważają to dzieło za słabsze od innych dramatów Ibsena. Gdy się uwzględni to niezrównane zadrwienie autora „Nory“ z publiczności, domagającej się od niego dzieła o „dobrem zakończeniu“, przyznać musimy, że bardziej po mistrzowsku nikt nie mógł zabawić się i uśmiać.

By ocenić odtworzenie „Oblubienicy morza“ na naszej scenie, jak i grę artystów, zaznaczyć musimy, że dzieło to sprawiać musi większe wrażenie w czytaniu, niż na scenie oglądane, gdyż uplastycznienie jako takie nie może oddać tego, co autor w niem zawarł. Tak w ujęciu całych scen, jak i poszczególnych postaci są różne możliwości. Artyści muszą wybrać jedną, odrzucając inne i w ten sposób ginie dla widza wiele piękności i siły dramatu tego. Jako przykład tych możliwości wspominamy rolę bohaterki, lub rolę Obcego człowieka. Pierwszą rolę można było inaczej pojąć i oddać, jak to zrobiła p. Siemaszkowa: bardziej dyskretnie i zagadkowo, z większą jednak siłą ekspresyjną w zaakcentowaniu ostatniego efektu. W kreacyi swej p. Siemaszkowa była w pewnych momentach tylko dobra, w innych raziła (jak w pierwszym akcie) nazbyt silnem akcentowaniem wrażeń i stanów, mających związek z przyszłymi aktami. Raziła także ogromna afektacya, z jaką artystka odnosiła się do morza, by nawet mało domyślnych widzów przekonać o prawdziwości tytułu dramatu. Scena zaś wolnego wyboru minęła bez wrażenia tak wskutek niezdecydowanego ujęcia Siemaszkowej, jak i fałszywie stworzonej postaci Obcego przez Adwentowicza, który rolę tę pojął i zagrał całkiem po literacku: Obcemu, który w dziele Ibsena jest postacią realną, człowiekiem, mimo wrażenia, jakie winien wywrzeć na widzach — z krwi i kości, p. Adwentowicz przypiął koturny i dał patos wprost ewangeliczny. Obcy, jako upiór zjawiający się przy Ellidzie i przy jej mężu, któremu tenże grozi nawet oddaniem go do więzienia za zabójstwo dawniej popełnione, raził tą romantyczną upiórnością.

Rolę doktora Wangla świetnie zagrał p. Chmieliński, p. Frączkowski bez zarzutu rolę Arnholma, p. Fritsche Lynstranda, bardzo dobrze opowiadając w pierwszym akcie. Mała, lecz bardzo ważna rola Ballesteda nie dostała się w odpowiednie ręce, toteż ibsenowskiego Ballesteda na scenie nie było. Pp.: Trapszo (Boletta) i Łuszczkiewiczówna (Hilda) w niektórych scenach grały ze zrozumieniem i wdziękiem.

* * *

W poniedziałek dnia 23 października teatr nasz obchodził wielką uroczystość: w ten wieczór uczcił czterdziestolecie pracy około sceny polskiej A d o l f a W a l e w s k i e g o.

Jeżeli się zważy ten ogrom czasu, poświęcony z zaparciem się i z ofiarnością sztuce scenicznej, tak wierną służbę aktora, ciężką i wielkich zdolności wymagającą pracę reżysera, a prócz tego poświęcenie wszystkich chwil wolnych dla wzbogacenia literatury dramatycznej tak utworami oryginalnymi, jak przeróbkami i tłumaczeniami dzieł obcych — podziw ogarnia i cześć dla tej cichej a olbrzymiej mocy. Artyści z serca przyczynili się do uświetnienia tej chwili jubilatowi — koledze, grając znakomicie jego jednoaktową komedyę „Farbiarze“.

EDWARD i JAN STĘK.

NA MARGINESIE SPRAWY SZKOLNEJ W KRÓL. POLSKIEM.

WARSZAWA—BRUKSELA W LIPCU.

(Ciąg dalszy).

II.

O gdybym kiedy dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy.

Mickiewicz jest kultury naszej sumieniem. Zwalcza on pojęcie, jak sam się wyraża, „egoizmu narodowego“.

Nigdy on sprawy polskiej nie pozwala łączyć z reakcyą, a choć ojczyznę swoją kocha tak, że nawet imienia Polski strzeże się wymawiać nadaremno, przecież nie pójdzie po nią tam, gdzie sprzedawaną bywa wolność ludu. Niema w jego patryotyzmie nic handlarskiego, nic też płaczliwego i wyżebranego, nic wreszcie starozakonnego.

„Monsalvat“ A. Górski.

Nadejdzie dzień, gdy lud polski zawezwie „Stronnictwo narodowe i demokratyczne“ do porachunku.

Nadejdzie dzień, gdy polski chłop i polski robotnik postawi owo straszne pytanie: coście z dziećmi naszymi uczynić chcieli?

Czy gęsiarka czytała kiedykolwiek „Pana Tadeusza“?

Czy chłopcy na wsi uczyli się innych wierszy po szkółkach wiejskich, za pieniądze gminne fundowanych, niż „Boże caria chrani“?

Czy dzieciom z ludu uprzystępniono naukę w szkołach i uniwersytetach prawdziwych?

Nie pomogą wykrętne odpowiedzi, powoływanie się na „panienki ze dworu“, nawet na zamkniętą „Macierz szkolną“.

Nie zapomni bowiem lud polski artykułów „Gazety Warszawskiej“, komentującej uchwały zjazdu stronnictwa N. D. w sprawie szkolnej.

Wyraźnie, czarno na białem wydrukowane zostało w organie stronnictwa N. Demokratycznego: „Słusznie mówi uchwała o nizkiej wartości wyższych uczelni w naszym kraju, ale to nam dyktuje tylko współczucie dla tej części młodzieży, która z lepszej i lepiej podawanej nauki nie może korzystać, zmuszona tem do większych wysiłków osobistych, do szukania własnym trudem tego, czego w uczelni nie znajduje.

Ta uboższa młodzież wydawała u nas zawsze i wydawać napewno będzie bohaterów pracy i niezawodnie z niej wyrośnie niejeden pracownik, który będzie chlubą kraju, z tem większą zasługą, że własnymi wysiłkami znalazł to, co innym gotowe podawano“.

I dziwić się zbytnio nie należy, skoro „Warszawskij Dniewnik“ poda oto taki artykulik:

„Na budowę pomnika w Kostromie i świątyni w Petersburgu, na pamiątkę 300 jubileuszu panowania Domu Romanowych, zamierzono asygnować z funduszów miejskich z miast gub. warszawskiej: Łowicza 100 rub., Radzymina 23 rub., Sochaczewa 75 rub., Nasielska 50 rub., Kutna 150 rub., Warska 20 rub., Grójca 15 rub., Nowego Dworu 50 rub., Płońska 100 rub., Zakroczymia 25 rub., Skierniewic 100 rub., Brześcia Kujawskiego 50 rub., Nieszawy 50 rub., Gostynina 1.500 rub., Gąbina 750 rub., ogółem 3.460 rub. Ponadto od zebrań gminnych wpłynęło na tenże cel ofiar na sumę 130 rubli 80 kop.“

Bowiem posłami do Dumy są tylko narodowi demokraci.

Dzieje się krzywda ziemi i jej ludowi.

Dużo się mówi w naszej Polsce „inteligenckiej“ o odrodzeniu narodu z ludu, o nowych źródłach życia, które z ludowego pnia, niby gałęzie najmłodszej wiosny, świeżyzną liści wyniknąć mają, tchnąc w siebie nowe skarby słońca.

Któryż jest najdemokratyczniejszy naród na świecie? My jesteśmy — Polska. Nieprzegadane nigdy są usta wszystkich N. P. S. i Ch.-demokratów, gdy chodzi o sprawy ludu. Nieprześpiewane są wszystkie poetyczne usta, gdy chodzi o „polski lud“. I oto cóż? Upijamy się sobie pozorem. Chimerą najwznioślejszą dla poetów jest demokratyzm polski, pozorem jest, absyntem upajającym dla zakrycia snobizmu tysięcy prawdziwej i pseudo-inteligencyi; zaś chlebem powszednim utrudzenia i zachodu dla drobnej jeno jest garści. I gdyby nie ten rzeczywisty fakt, że demokratyzacya społeczeństw, uobywatelnianie się pracującego ludu staje się wbrew wszystkiemu prawdą, która wyważy zawiasy papierowego i fałszywego demokratyzmu, ciężko byłoby ostać się wobec faktu ciągłych grzechów i krzywd społecznych, przez stronnictwa, demokratycznemi się mianujące, popełnianych, wobec ciągłych zdradzań sprawy, której się rzekomo służy.

Popełnić zło i stanąć jawnie z nagą jego prawdą wobec ludzi — to znaczy przynajmniej być silnym, przynajmniej mieć dumną i piękną samowiedzę i obronną rycerskość swych czynów.

Spowijać czyn popełniony w tysiące zasłonek, tkanych z tandetnych nitek kłamnego „patryotyzmu“ i „demokratyzmu“, to znaczy oszukiwać conajmniej samego siebie, to znaczy nie mieć „szlachectwa duszy“ i to jest jedyny bodaj „demokratyzm“, jaki posiada oficyalna N. Dem. Treścią uchwały swej daje nam narodowa demokracya prawo twierdzenia, że wszystkie pochwały jej, w stronę szkoły polskiej zwrócone, nieszczere są, a występowanie w imię haseł społecznych i ulżenia ubogiej ludności Królestwa, jest ukryciem ohydnej prawdy krzywdy, spełnionej na „inteligenckim“ i robotniczym proletaryacie polskim. Łaskawym, hojnym gestem oddaje to stronnictwo szkołę rosyjską, z której nizkiego poziomu dobrze samo zdaje sobie sprawę, warstwom, nie mającym czem płacić „drogich“ szkół polskich, dobrą szkołę polską oddając garści uprzywilejowanych bogaczów, (którzy jakże często w ciągu tych lat sześciu do szkoły rosyjskiej kołatali).

Wara tobie, chłopie, od dobrej polskiej szkoły! Wara tobie, robotniku i tobie, inteligencie, w którym jeszcze dusza się kołata, od polskiej strawy ducha. Bo jakkolwiek „tylko szkoła ojczysta może prowadzić z pożytkiem dzieło wychowania młodych pokoleń“, to cóż to ciebie może obchodzić wielotysięczny proletaryacie polski. Ty chowaj jeszcze twe młode pokolenie sam, w ciężkiej walce z wrogiemi siłami obcej szkoły, w ślepej nienawiści do

swoich krzywdzicieli. Bowiem pańskie, magnackie, „społeczeństwo“ musi oszczędzać. Musi ono zbierać skrzętnie grosz do grosza na rozpustne użycie po dalekich krajach zachodniej Europy, musi ono zabić w tobie do cna poczucie, że pieniądze, przez nie społeczeństwu dane, to nie „jałmużna“, a tylko zwrot tego, co dała mu krwawa praca rąk ludowych. Musi ciebie, chłopie i robotniku, od hańby tej „jałmużny“ uchronić.

Gdybyśmy byli uczynili wszystko, aby byt szkoły polskiej uczynić sprawą sumienia polskiego, to poniósłszy porażkę w milczeniu, jęlibyśmy się pracy od nowa.

Ale myśmy nie uczynili nic zgoła. Zawstydzić nas i w oczy zaśmiać nam się może przecie każdy naród Europy. Głosiliśmy urbi et orbi, że jedyną w dziejach kartą jest sprawa zdobycia szkoły polskiej. Kartę tę przekreślają dziś ohydnym ruchem tchórzostwa i wyrachowania ci, którzy najgłośniej o chwale krzyczeli, sobie ją zresztą niesłusznie przypisując.

Stary, szlachecki lęk o uszczuplenie dochodów, o „obcięcie budżetu zbytków“, oblazł Narodową Demokracyę. Ten sam lęk, który kazał ongiś szlachcie uniemożliwiać wszelką reformę.

Niedawno zaszedł we Francyi drobny wypadek. Żona latarnika — w noc burzy i konania swego męża, noc całą wraz z drobnemi dziećmi na szczycie wieży nadmorskiej dawała sygnały, by od zguby uchronić statki z tysiącem ludzi. Na drugi dzień, w redakcyi pewnego dziennika, bogaci ludzie Francyi złożyli dla bohaterki-latarniczki 15 tysięcy franków.

My spokojnie patrzymy na niedolę materyalną szkoły polskiej. A potem, rozsądnie i rozważnie stronnictwo, stojące na świeczniku społecznym, uradza, by obciąć i ten grosz wdowi, który przez uczniów do tej szkoły płynie. By potonęły statki śród burzy. Nie jest że to nikczemność?

Bo nie było fatalnością nieuniknioną, aby szkoła polska nie miała pieniędzy i była drogą. Trzeba było tylko, aby nie przydarzyło się haniebne przywłaszczenie Skarbu Narodowego w Rapperswylu. Cóż uczyniliście ze Skarbem Narodu, panowie posłowie z Dumy petersburskiej, iść będzie za wami coraz groźniej pytanie.

Czemu puste macie teraz ręce, gdy woła na was najpilniejsza potrzeba duszy polskiej — szkoła. Nie nakarmią jej kłamne słowa ust waszych, ani pustka dusz waszych, sprzedających za ochłap dobrobytu i politycznych wyrachowań krwawe, nie wasze zdobycze Narodu.

Trzeba było tylko iść ze szkołą polską do ludu i ukazać człowiekowi ziemi i człowiekowi młota, że służy ona jemu, jego niedoli i doli, że daje w serce ziarno zdrowej wiedzy i ukazanie ideału, że spotężnia duszę ku wyoraniu i wykowaniu swego losu.

Trzeba było dokonać tego, żeby nie było w Polsce człowieka, coby nie niósł swojego grosza do świątyni polskiego szkolnictwa, jak do najrodzeńszej swojej, najbliższej potrzeby, jak do kochanej zapowiedzi dnia śród mroków.

Trzeba było uczynić szkołę polską własnością społeczeństwa, nie mogąc uczynić własnością rządu.

Trzeba było to wszystko czynić, miast paraliżować wszelkie wysiłki tej szkoły ku wolności i demokratyzmowi, miast oplątywać ją szatańskimi powrozami klerykalizmu i kastowości, które ją obcą czyniły szerokim falom narodu, jego głębiom ludowym. Z tych głębin przyjdzie krzyk zaprzepaszczanego sumienia narodowego, stamtąd przyjdzie gniew i zażąda sądu.

SILVA RERUM.

KLUB SPOŁECZNO-NAUKOWY przeniósł się do nowego lokalu przy ul. Sienkiewicza 9. Pożyteczna ta placówka myśli demokratyczno-postępowej we Lwowie zamierza w najbliższej przyszłości urządzić cały szereg wykładów i dyskusyi na temat aktualnych zagadnień narodowych i ogólno-kulturalnych. W pierwszym rzędzie przedsiębierze przygotowanie uroczystości ku czci ojca demokracyi polskiej, H u g o n a K o ł ł ą t a j a, którego setna rocznica śmierci przypada na r. 1912. Już w niedługim czasie rozesłanem zostanie zaproszenie do poważnych osobistości, celem wyboru komitetu wykonawczego, który będzie miał za zadanie obmyślić szczegóły obchodu i zainteresować cały kraj wielką osobistością dziejową, której działalność związana była ściśle z najważniejszemi zdarzeniami w tragedyi historycznej naszego narodu.

TOWARZYSTWO LITERACKIE IM. ADAMA MICKIEWICZA odbyło na dniu 23. b. m. Walne zgromadzenie członków i przeprowadziło wybory na dalsze trzy lata. Wybrani zostali: prezesem Kallenbach Józef, wicepr. Hahn Wiktor, sekretarzem Vrtel Stefan, skarbnikiem Zaleski Józef. Do wydziału weszli panowie: Badecki, Bernacki, Bruchnalski Wilhelm, Czarnik Bronisław, Gubrynowicz, Kleiner, Krczek, Pawlikowski Jan, Wasilewski i Wojciechowski Konstanty. W dyskusyi nad sprawozdaniem uchwalono przeznaczyć 300 kor. z funduszów Towarzystwa na budowę pomnika Juliusza Słowackiego we Lwowie, oraz skierowano prośbę do redakcyi Pamiętnika literackiego, ażeby do zapowiedzianych zeszytów jubileuszowych ku czci Skargi i Krasińskiego dodano zeszyty jubileuszowe ku czci Hugona Kołłątaja i J. I. Kraszewskiego. Dość dziwne, że redakcya sama o tem nie pamiętała. Spodziewać się wolno, że przypomnienie odniesie pożądany skutek z korzyścią dla niezależności polskiej nauki i polskiego myślenia, która pamięcią o samym tylko Skardze i Krasińskim więcej, niż mocno, mogłaby być zakwestyonowaną. Pozatem wyrażono uznanie dla dotychczasowej pracy redaktora i uchwalono ofiarowanie Zakładowi im. Ossolińskich zebranej przez Towarzystwo biblioteki Mickiewiczowskiej.

ECCLESIA MILITANS. Podczas poświęcenia pięknego kościoła św. Elżbiety na Grodeckiem, ks. arcybiskup lwowski wygłosił interesującą mowę, w której na dwa ustępy zwracamy uwagę. Religia Chrystusowa — mówił kaznodzieja — nie iści się w mechanicznem i zewnętrznem tylko spełnianiu choćby najliczniejszych praktyk dewocyjnych. Trzeba to często i głośno powtarzać, bo są także chrześcijańscy farazeusze, którzy nie przynoszą owoców sprawiedliwości, a używają praktyk religijnych jedynie do pokrywania brudów swojego życia. Taka czysto formalistyczna religijność, gdziekolwiekbyśmy ją napotkali, musi być napiętnowana jako kłamstwo, ze wszystkich kłamstw życiowych największe. — Do słów kaznodziei nie mamy nic do dodania, zgodzą się na nie wszyscy ludzie uczciwi. Ale pragnęlibyśmy bardzo gorąco, ażeby zapisały je w sercu wszystkie duchy jezuickie, dewotkowate i sodalisowe. Niestety — wiemy z długowiekowego doświadczenia, że pragnienie takie to tylko *pium desiderium*, że słowa ks. arcybiskupa przez tych „najprawowierniejszych“, w gruncie największych wrogów ducha chrześcijańskiego, będą uważane za pusty frazes konwencyonalny.

Na innem miejscu kaznodzieja podnosił znaczenie kwestyi społecznej i wyraził się o patronce nowego kościoła w sposób następujący: „A św. Elżbieta jest właśnie świętą najbardziej socyalną“. W wyrażeniu tem mieszczą się dwie myśli: że kwestyi socyalnej przybyła nowa święta i że kwestya socyalna jest świętą, skoro ma zdolność uświęcania. Taka pochwała dla pracy socyalno-demokratycznej, która przedewszystkiem zajmuje się kwestyą socyalną, w ustach dostojnika katolickiego jest arcyciekawą niespodzianką. Nie wiemy tylko, czy poza tem wyrażeniem nie mieściła się u mowcy jaka *restrictio men-*

talis, czy dalej słuchacze tak ją zrozumieli, jak zrozumieć ją musi każdy logicznie myślący, czy nareszcie formaliści religijni nie wezmą jej także za frazes konwencyonalny. Bo słowa są skrzydlate — mawiał ślepy Homer — I na to, aby czynem kłamały — powiedział ktoś inny. My jednak bierzemy słowa kaznodziei dosłownie i przyłączamy się do nich bez zastrzeżeń.

RENESANSEM POLSKIEJ DEMOKRACYI podobało się „Gazecie wieczornej“ nazwać odbyty przed kilku dniami we Lwowie Zjad krajowy tego stronnictwa. „Gazeta wieczorna“ jest organem P. D. — przeto musimy jej wierzyć na słowo, że to istotnie renesans. Zdaje się, że wierzy w to również wysoki protektor renesansowej demokracyi, JE. pan namiestnik.

Jaka szkoda, że przeczą tylko nagie fakty, a przedewszystkiem sam przebieg owego historycznego Zjazdu. Jedyny śmielszy i szczerszy ton, jedyny oddźwięk rzetelnie demokratycznych haseł wniosło w blade i wodniste rozprawy Zjazdu przemówienie mecenasa Dwernickiego — poza tem wszystko świadczyło nie o rozwoju naszej demokracyi, ale o cofaniu się jej wstecz. A już doprawdy zgoła nie renesansowe stanowisko Zjazdu wobec potwornego projektu sejmowej reformy wyborczej p. Starzyńskiego jest najwymowniejszem świadectwem dla tych, którzy — jak płaszczem — owijają się tradycyami Smolków, Romanowiczów i Rotterów, aby zakryć swoją demokratyczną mizeryę i ustawiczne staczanie się na poziom galicyjskiej prawomyślności. Niewesoły zaiste renesans.

EKSCELENCYA ON w O. N. IV. *Habent sua fata*... Ekscelencye, nawet „narodowe“. Jeszcze tak niedawno, gdy zajechał salonką do Lwowa, witał go na dworcu kwiat podolskiego i wszechpolskiego narodu i co najprzedniejsi z lwowskiego kołtuństwa. Mowy powitalne, odpowiedzi, wiwaty. Dziewica wręcza bukiet. Potem odjazd w szeregu powozów miejskich i Kurkowskiego do miasta. Potem przed JEGO willą rozentuzyazmowany tłum z „faklami“ (po koronie od głowy) — ON staje na balkonie z podniesioną dumnie głową, z ręką na piersiach (rzeźbiarzu, który kiedyś będziesz chciał stawiać mu pomnik, czemuż nie było cię tam, aby uwiecznić tę historyczną pozę) i mówi, mówi, mówi bez końca, aż do ochrypnięcia. Istny galicyjski Patacake.

A dziś... O niewdzięczny losie! O zmienności natury ludzkiej! Przyszło MU na to, że musi rzucać perły swej wymowy, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty przed szczupłym zastępem wiernych z O. N. IV. Zapoznawa naród proroki swoje i nie chce słuchać głosu ich, zaprawdę wołającego na puszczy. Więc nie dziw, że brzmi w tym JEGO głosie nuta szczerego smętku i żalu za tem, co tak prędko przeminęło, a nie wróci już; że powtarza się ustawicznie, jak refren smutnej piosenki: „Kiedy byłem prezesem Koła...“, „Kiedy byłem ministrem...“.

Albowiem nie masz większej boleści, jak w czasie niedoli wspominać chwile minionego szczęścia...

KILKA SŁÓW W SPRAWIE PANEGIRYKU GABRYELI ZAPOLSKIEJ NA CZEŚĆ HR. JAXY RONIKIERA. Niedawno „Wiek Nowy“ ogłosił gorąco napisany fejleton Gabryeli Zapolskiej w sprawie skazanego na 15 lat katorgi „smutnego hrabiego“. Oczywiście nie w celach polemiki z autorką „Tamtego“ i „Zaszumi las“ piszę te słów kilka. Polemizować z uczuciem, szczególnie z uczuciem kobiety, byłoby rzeczą potworną, a przy tem zgoła niepotrzebną i chybioną. Jednak jako królewiakowi nie wolno mi pominąć kilku spraw, które autorka „Tamtego“ i „Zaszumi las“ pominęła. Czyż np. nastąpiło ze strony „smutnego hrabiego“, lub ze strony jego adwokatów maleńkie zaprzeczenie takiego niewinnego zgoła faktu, jakim na terenie warszawskich stosunków jest fakt przyjaźni z p. Grünem?

Kim jest p. Grün, raczej kim był p. Grün? No, o tem autorka polska wiedzieć musi. Czyż nie jest faktem, urzędownie i prywatnie stwierdzonym, że następcy Grüna, p. Kowalik i Kurnatowski byli wezwani telefonicznie do hotelu, gdzie „smutny hrabia“ pragnął się wykręcić z zarzutów, rozsiewanych przez prasę, przed dyrektorami ochrany?

W *meritum* sprawy nie chcę wchodzić. Przypuszczam, iż „smutny hrabia“ jest typem zwyczajnego apasza arystokratycznego. Typ ten został silnie napiętnowany przez Szanowną autorkę podczas sprawy Lewickiego we Lwowie.

Nie wolno jednak swych osobistych sympatyi narzucać czytelnikom pism, nie wolno z oddanego pod sąd za morderstwo w celach pospolitej grabieży osobnika czynić ofiary niewinnej. Boć niewinności „smutnego hrabiego“ bronił rosyjski adwokat Bobriszczew-Puszkin, sława adwokatury, boć wina zostanie prawdopodobnie silnie zmniejszoną na skutek prośby na imię Najwyższego cara, Mikołaja...

Niechajże pióro wielce utalentowane, pióro zasłużone ojczyźnie pracą długoletnią, nie czyni z jakiegoś hrabiego, ofiary sądów moskiewskich.

Przyjaciel Grüna mógł zabić, Szanowna autorko, mógł właśnie tak, a nieinaczej zabić młodego chłopca.

M. Dąbrowski.

Z RAPTULARZA.

WOJNA WŁOSKO-TURECKA przybrała w ostatnich dniach niespodziewany obrót. Na samem wybrzeżu Cyreny, w promieniu działania pancerników włoskich, poniosła armia włoska od słabszego liczebnie oddziału tureckiego, wspartego przez ludność tubylczą, dotkliwą porażkę. Straty włoskie w bitwie pod Bengasi wynoszą wedle raportów tureckich 800 ludzi. Włosi podają coraz inne, oczywiście bardzo drobne cyfry, objektywne jednak depesze angielskie potwierdzają tym razem wiadomości tureckie. Bengasi pozostało w ręku Włochów, ale pochód ich w głąb kraju jest aż do otrzymania nowych posiłków wstrzymany. Nie o wiele lepiej powodzi im się pod Trypolisem. Mimo olbrzymiej przewagi liczebnej pozostaje w ich ręku tylko stolica, którą bronić muszą przed atakami słabszego nieprzyjaciela, wspieranego dzielnie przez krajowców. Rozszerzane oficyalnie wiadomości o poddaniu się Arabów i ich sympatyach do zdobywców okazały się poprostu wyssanemi z palca. Pochód więc w głąb kraju, mimo skupienia 50,000 wojska dotąd nie rozpoczęty, nie będzie się więc dla Włochów przedstawiał zbyt różowo, zwłaszcza wobec wybuchu cholery, która dotąd porwała w armii włoskiej 200 ofiar.

REWOLUCYA CHIŃSKA osiąga dotąd sukces za sukcesem. Z niezrozumiałych powodów nie zniszczoną linią kolejową, przewiózł rząd cesarski pod zbuntowane miasto Hankou 20,000 wojska i wydał powstańcom krwawą dwudniową bitwę. Pierwszego dnia (18. października) opanowały wojska rządowe, wspierane ogniem kanonierek z rzeki, główny dworzec i przyległy tor wyścigowy i okopały się na nim. Nazajutrz jednak udało się powstańcom ogniem działowym z fortów Wuczangu kanonierki rządowe częściowo zniszczyć, a częściowo spędzić w dół rzeki, poczem dworzec i obóz wojsk rządowych zostały napowrót zdobyte. Wojska rządowe, które nawet wedle oficyalnych wiadomości pekińskich poniosły znaczne straty, cofnęły się 60 km. na północ. Klęska podziałała na rząd deprymująco. Generał Juanszikaj odmówił natychmiast przyjęcia naczelnego dowództwa, nie mając ochoty łączyć swego losu z losem zagrożonej dynastyi. Rząd, słynny z potwornych okrucieństw, ofiarowuje dziś, po raz pierwszy w dziejach Chin, generalną amnestyę i obiecuje szeroką demokratyczną konstytucyę. Zwołano nawet do Pekinu karykaturyalny parlament, którego oczywiście republikanie nie uznają. Pozycyę rządu niezmiernie pogarsza zupełna pustka w skarbie i brak wszelkich materyałów wojennych, główne bowiem magazyny i arsenał znajdowały się właśnie w zbuntowanem Hankou. Powstańcy opanowali natychmiast po bitwie miasto Iczuang, uzyskując w ten sposób kontakt ze zbuntowaną prowincyą Seczuanem i, po słabym oporze wojsk cesarskich, Kiukiang, na drodze do Nankinu. Znaczne sukcesy odnieśli republikanie na południu. Prowincya Junan (na pograniczu Tonkinu) jest już częściowo w ich ręku, a z Kantonu, głównego miasta południa, depeszuje wicekról, że lada chwila grozi wybuch rewolucyi i żąda usilnie przysłania posiłków, co jest oczywiście, wobec zajęcia przez powstańców centrum państwa, niemożliwością.

NA WĘGRZECH zakończyła się próba rozbicia partyi, prowadzących obstrukcyę przeciw przedłożeniom wojskowym, fiaskiem. Rządowi chodziło o przeprowadzenie reformy wojskowej przed dyskusyą nad reformą wyborczą; liczył przeto na pozyskanie reakcyjnej, pod względem reform społecznych, części opozycyi t. j. koszutowców i na izolowanie partyi Justha. Ponieważ rząd ani nie chce cofnąć przedłożeń wojskowych, na których zależy dworowi, ani dopuścić do demokratycznej reformy wyborczej (w obecnej sytuacyi wzmacniałaby ona irrydentystyczne żywioły i uniezależniała sejm od Burgu) niema rząd węgierski, mimo wiernej większości sejmowej, sposobu wybrnięcia z sytuacyi.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY.

ORGANIZACYA URZĘDNIKÓW PRYWATNYCH. Założony przed kilkoma miesiącami przez urzędników „Związek Urzędników i Urzędniczek prywatnych dla Galicyi i Śląska" przystąpił do opracowania szematyzmu, obejmującego wszystkie kategorye urzędników prywatnych zamieszkałych w Galicyi. Szematyzm będzie zawierał imię, nazwisko i firmę, w której urzędnik jest zatrudniony, nadto ściśle alfabetyczny spis urzędników z wykazem stronicy, na której jest pomieszczony. Związek urzędników przez dokładne opracowanie takiego szematyzmu chce dać fundament dla przyszłej swej działalności przez urzędników i dla dobra urzędników prowadzonej. Posiadając już 19.500 adresów urzędników i urzędniczek prywatnych, zwraca się Związek do urzędników obojga płci w całej Galicyi, jak również i do życzliwych P. T. Pracodawców, ażeby zechcieli umożliwić nam uzupełnienie i skontrolowanie naszych zapisków, przez nadsyłanie nam Swych odresów, z podanidm firmy i nazwisk wszystkich urzędników w niej zatrudnionych, a przez to ułatwić ciężką pracę Związku.

Jednocześnie Wydział Centralny Związku podaje do publicznej wiadomości wszystkim interesowanym, że wpisowe do Związku wynosi Kor. 2. Do Związku należeć powinien każdy urzędnik lub urzędniczka pracująca w jakiejkolwiek instytucyi prywatnej. P. T. Dyrektorzy, właściciele biur, fabryk itp. mogą należeć do Związku w charakterze członków wspierających, za opłatą Kor. 25 rocznej wkładki.

Związek Urzędników i Urzędniczek prywatnych dla Galicyi i Śląska, który postawił sobie za cel przez systematyczne urządzanie wykładów, odczytów i kursów fachowych itp. pracę wśród urzędników prywatnych — liczy z całą ufnością na łaskawe poparcie wszystkich kolegów i koleżanek.

Przy Związku istnieje również bezpłatne biuro pośrednictwa pracy, które swym członkom pośredniczy w wyszukiwaniu posad biurowych, a P. T. Pracodawcom dostarcza wypróbowanych i solidnych sił biurowych. Związek posiada bibliotekę, zaopatrzoną w paręset tomów treści naukowej i beletrystycznej, oraz czytelnię, z których członkowie korzystać mogą bezpłatnie. Związek poczynił również potrzebne przygotowania do wydawania własnego organu, którego pierwszy numer wyjdzie najprawdopodobniej w najbliższym czasie.

Wszystkie czynności Związku dla swych członków są bezpłatne. Na żądanie wysyła się statut Związku, deklaracyę przystąpienia, czeki Pocztowej Kasy oszczędności na wpłatę wpisowego i inne potrzebne do przystąpienia druki.

Zgłoszenia ustne i pisemne na ręce sekretaryatu we Lwowie pl. Bernardyński l. 7, pod tym adresem przesyłać należy wszelką korespondencyę Związku.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE. Nakładem Macierzy polskiej pojawiły się w ostatnich czasach „Jasełka", układu Waleryi Szalayówny (str. 48 i 10 str. odbić litograficznych; cena 40 hal.) i „Czytanka dla służących", ułożona staraniem Koła pań T. S. L. we Lwowie.

„ŻYCIE" wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węhier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawcy: Dr. **Aleksander Lisiewicz** i inż. **Hipolit Śliwiński.**

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrocki.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO". LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".